

KAMENIA

LUBLIN

30.VI.1961

Nr 12 (226)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: **Profesor Żeleński** • **Muzeum Prusa otwarte nie będzie?** • **Airyka na co dzień**
Lucifer • **Przegląd literacki** • **Więcej barwy!** • **Katarakta** • **I in.**

„CALYPSO“ I TARGI

JERZY DOSTATNI

NA brak inicjatywy zwłaszcza w zakresie budowy różnych rzeczywiście potrzebnych obiektów, nie możemy w Lublinie narzekać. Nowy teatr dramatyczny, teatr letni, zalew w Zemborzycach, trasa W-Z otwierają zaledwie długą listę. Gorzej z wykonaniem. Nie tylko dlatego, że realizacja każdego z tych projektów wymaga milionów, a nawet dziesiątków milionów. Na przykładzie teatru dramatycznego, o czym dokładniej pisałem w jednym z poprzednich numerów „Kamienia”, można bez obawy o przesadę twierdzić, że przede wszystkim brak nam wytrwałości i konsekwencji w wykonaniu planów. Na ogół przyjmujemy inicjatywę z entuzjazmem, dyskutujemy, potem sprzecząmy się, potem każdy wysuwa własny projekt i na tym się kończy. Jeżeli prawdą jest, że Polacy lubią dyskutować, to chyba Lublinowi należałoby w tej dziedzinie przyznać pierwszeństwo w skali ogólnokrajowej.

Nie inaczej jest i w innej dziedzinie. W ciągu ostatnich tygodni niemal trzy razy mniejszy Kalisz pięknie zorganizował festiwal teatrów Południowej, chociaż leży bardziej na północ od naszego miasta. Jeszcze mniejszy od Kalisza Rzeszów nie tylko ogłosił, ale i pięknie rozpoczął „Rok Ziemi Rzeszowskiej”, chociaż ziemia tam wcale nie lepsza od naszej, a np. dla archeologów znacznie mniej ciekawa. Gdańsk ma o jedną wyższą uczelnię mniej niż my, ale potrafił urządzić ogólnopolski przegląd teatrzyków studenckich. Kraków jest wprawdzie dwa razy większy od Lublina, ale też nie posiada żadnej wytwórni filmowej, a właśnie tam odbył się głośny w całym kraju festiwal filmów krótkometrażowych. Trzeba tu jeszcze dodać, że na żadną z tych imprez minister finansów nie wyasygnował ani grosza, pomijając nagrody, które zresztą i tak były przewidziane w budżetach resortowych ministerstw lub odpowiednich rad narodowych. A my co roku z trudem kleimy tylko Dni Lublina, nie wyróżniając się niczym specjalnym spośród pozostałych dni roku.

Te niezbyt wesołe rozmyślenia wypełniły mi krótki odpoczynek, jaki rozum podyktował oczom, wciąż głodnym oglądania arcyciekawych eksponatów na ostatnich Targach Poznańskich. Chociaż osobiście bardzo chciałbym być właścicielem nowego modelu „Fiata 1100”, to przecież usiadłem plecami do włoskiego stoiska i nie bez lokalnej dumy patrzyłem na bez przerwy kręcący się wraz z tarczą prototyp nowego „Zuka” z naszej lubelskiej FSC. Już poprzednio wraz z wielu cudzoziemcami podziwiałem nowy, pięcioosobowy świdnicki helikopter, nasze niemal rewelacyjne wagi, skórzane wyroby Lub-galu, krańskie łożyska kulkowe, piórnice w całym kraju silniczki elektryczne z Poniatowej, motocykle, których produkcja wciąż nie może nadążyć za olbrzymim popytem, poszukiwane za granicą nasze wyroby z wikliny, nieprzystojnie obliżywałem się przed milojewskimi młodami pitnymi, złościłem

się przed setkami puszek z lubelską szynką... Złościłem się dlatego, że na puszcze nie ma ani słowa o tym, że wyrabia się je w samym Lublinie i z lubelskich szynek. Nie potrafimy dbać o własną reklamę. Gorzej, nazwa szynki „Krakus” wydrukowana jest literami gotyckimi. „Krakus” zdaje się sugerować odbiorcy, że towar produkuje się w Krakowie, co nie jest prawdą. A wydaje mi się także, iż u niektórych konsumentów zagranicznych ów gotyk może wywołać wrażenie, iż rewizjonistyczna propaganda o „Urdeutsche Stadt Krakau” ma w sobie ziarno prawdy...

Ale nie mam zamiaru pisać tu raportu o Targach Poznańskich. Pełno było o nich informacji w prasie codziennej i radio. Targowe refleksje posłużyły mi tylko za zastonę dymną, po której przebiegu chciałbym przypomnieć o jeszcze jednym naszym, lubelskim projekcie. Mówi się o nim od lat, na ogół na ucho, jakby to miała być nie wiadomo dlaczego jakaś wielka tajemnica. Chodzi po prostu o zorganizowanie w naszym mieście wojewódzkim Targów Wschodnich.

Przed wojną odbywały się one we Lwowie. Pierwsze odbyły się w tym samym, 1921 roku, co i Poznańskie, tyle, że były od razu międzynarodowe, a Poznań na umiędzynarodowienie swoich musiał poczekać jeszcze cztery lata. To prawda, że Lwów wyszedł z pierwszej wojny światowej z minimalnymi (w dzisiejszym pojęciu) stratami. Ale otwarcie targów już w trzy lata po zakończeniu wojny, świadczy mimo wszystko o potrzebie organizowania takiej imprezy handlowej. Wątpię, czy byli w lepszej lokalowo sytuacji niż my obecnie, a gospodarczej na pewno nie.

Byłoby oczywiście grubą przesadą twierdzić, że ewentualne Targi Wschodnie w Lublinie szybko dorównają poznańskiej imprezie. Ale równie jasne jest i to, że nie dorównają nigdy, jeżeli nigdy poważnie nie weźmiemy się do ich organizowania, albo przynajmniej zabezpieczenia takiej możliwości w planach perspektywicznych rozwoju miasta. A tymczasem poza licznymi dyskutantami nie widać nikogo, kto zabrałby się poważnie do przemyślenia i zaprojektowania całej sprawy. Plan perspektywiczny na najbliższe dwudziestolecie też nie w tej sprawie nie przewiduje.

Nie chodzi tu oczywiście o kopiowanie targów lwowskich. Tam początkowo główną, a potem jedną z głównych ról, odgrywał przemysł naftowy, który w naszym województwie w ogóle nie istnieje. Ale obok nafty Targi Wschodnie koncentrowały się wokół drzewa i jego wyrobów, rolnictwa, przemysłu budowlanego. W tych dziedzinach odgry-

(Dokończenie na str. 2)

JESZCZE się reforma ustroju szkolnego na dobre nie zaczęła, a już wielki problem jutrzejszej szkoły zaczyna otaczać osłona znużenia. Wszystko bowiem, co dotychczas w tej materii działo się, skupiło się w sferze debat, porad, konferencji, zjazdów. Po nich zaś nie następowały rychłe zmiany, zapowiadane przecież już przez kilka lat. Postronny obserwator mógłby z niecierpliwością powiedzieć — tyle hałasu o jeden rok nauki dodany do siedmioletniej szkoły podstawowej.

Niecierpliwość w tym względzie jest równie pożądana, jak i spokojny umiar. Szkoła polska co kilkanaście lat była poddawana organizacyjnym wstrząsom nie zawsze zresztą z najlepszym skutkiem. Nie będzie chyba bluźnierstwem stwierdzenie, że dokonana przed kilkunastu laty unifikacja fakultetów w liceach, polegająca na stworzeniu z klas humanistycznych, matematyczno-przyrodniczych i klasycznych klas ogólnokształcących, nie stanowiła najtrafniejszego rozwiązania. Znam wielu uzdolnionych, młodych humanistów pozbawionych umiejętności zglębiania nauk ścisłych, którym owe „ogólnokształcenie” pomieszało szczył życiowe. Coroczne matury przekonują o tym, że zatarcie różnic w zainteresowaniach i zdolnościach młodzieży i wciśnięcie jej w jeden szablon szkoły ogólnokształcącej nie wyszło na zdrowie ani młodzieży, ani szkole. Ale to tylko mała dygresja na marginesie wielkiej sprawy. Organizatorzy i twórcy jutrzejszej szkoły „wyczarowują” na razie reformę trawiąc czas na skrupulatnych rachunkach. Trzeba „wmontować” w możliwości ekonomiczne kraju tysiące nowych izb lekcyjnych, gabinetów, pracowni, sal gimnastycznych, mieszkań dla nauczycieli. Zaden rozmach, ani najświętsze racje społeczne owych rachunków nie zastąpią. Pochłaniają one dotychczas tyle energii i czasu, że spoza debat poświęconych sprawom organizacyjnym nie widać kształtu zreformowanej szkoły, tych oczekiwanych unowocześnień w

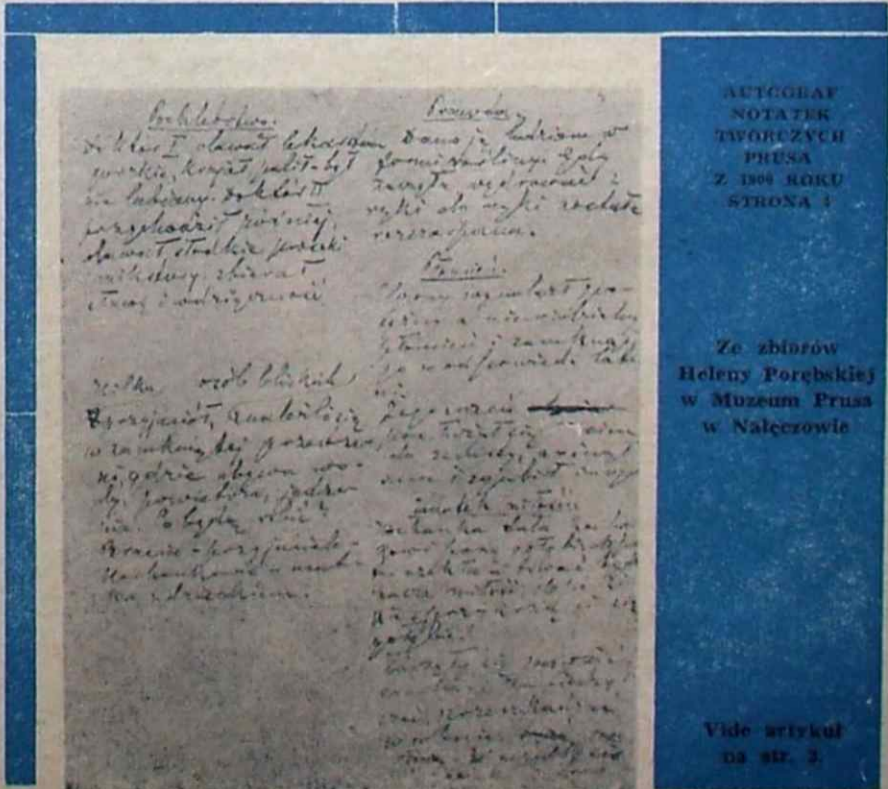
SZKOLNE JUTRO

ZOFIA DUBLEWICZ

programach nauczania. Nie podważając w niczym słuszności skrupulatnych obliczeń ile czego trzeba i czym się za to zapłaci — stwierdzić wypada, że merytoryczna część rozważań nad tym co nowego w zreformowanej szkole będzie, „gubi się” po drodze. Problemów bez liku, więc może drogą selekcji odautorskiej wyłonić tylko kilka.

ZANIM się wyraźnie zarysuje wizja nowej szkoły, wypada zastanowić się nad tym, co do niej wprowadzimy. W starym szkolnym mieszkaniu jest trochę gratów i trzeba się będzie ich pozbyć bez żalu, choć przez wiele lat zajmowały honorowe miejsce i trudno będzie wyobrazić sobie tok pracy bez nich. Mam na myśli pewne utarte, eksploatowane już przez dziesiątki lat metody nauczania, pedagogiczne schematy nie pasujące do dzisiejszych wymogów. Ale o tym za chwilę. Na razie — powszechność nauczania — czyli mówiąc formułką przepisów, realizacja obowiązku szkolnego. Rokrocznie w Polsce poza zasięgiem szkoły pozostają tysiące dzieci. Kończą edukację na czwartej, piątej klasie, po kilkunastu latach zapominają to, czego się kiedyś nauczyli. W wieku dojrzałym znajdują się o krok od analfabetyzmu wtórnego. Szczególnie ostro ten problem wypada na wsi. Decydują przeważnie argumenty rodzicielskie, w stylu, a co mu (synowi) to da, jeśli skończy siedem klas. Panem i tak nie będzie. W sukurs takiej argumentacji przychodzi wielkie zapotrzebowanie na siłę roboczą, zwłaszcza

(Ciąg dalszy na str. 2)



„CALYPSO” I TARGI

(Dokończenie ze str. 1)

wamy już poważną rolę w gospodarce krajowej. Doszedł do tego duży przemysł rolny-spożywczy, cementowy i to wszystko, co pokazaliśmy na tegorocznych Targach Poznańskich. U siebie, na własnych śmieciach, moglibyśmy zresztą pokazać znacznie więcej interesujących rzeczy.

Być może jest dzisiaj trudniej zdobyć dla nowych targów rangę międzynarodową. Ale przecież nie od razu lubelska impreza musi przybrać taki charakter. Mamy pretensje — i często je podkreślamy — do ponadwojewódzkiego charakteru miasta Lublina. Mówimy, że to największe miasto po prawej stronie Wisły. Prawda. Ale czymże podkreślamy ten ponadwojewódzki charakter poza tym, że posiadamy pięć wyższych uczelni i że podjęliśmy próbę zainteresowania innych województw wspólną sprawą uregulowania brzegów Wisły? Można chyba powiedzieć stylem „zebraniowym”: nie słyszę, nie widzę...

Niechże więc na początek będą to Targi Wschodnie o charakterze międzywojewódzkim z naciskiem na te dziedziny, które uzupełniają gospodarkę ziemi lubelskiej, rzeszowskiej, kieleckiej i białostockiej. A może i na te, które współzawodniczą, aby podnieść poziom i u jednych, i u drugich. Dość skromnie pomyślana, a jeszcze skromniej wykonana wystawa rolnicza w okresie dziesięciolecia wykazała, jak bardzo potrzebna jest tego rodzaju impreza. Niestety dotychczas nie wyciągnęliśmy z tego właściwego wniosku. Odwrotnie — mieliśmy i wciąż jeszcze mamy kłopot, co zrobić z wybudowanymi w czasie tej wystawy pawilonami.

LUBELSKIE Targi Wschodnie wymagają także rozstrzygnięcia gdzie i za co je urządzić. Oto skromne uwagi laika, który nie ma do dyspozycji ani wolnych placów ani dziesiątków milionów zł na wybudowanie wystawowych obiektów.

Otóż laik myśli sobie, że można zacząć i bez jednego, i bez drugiego. Mrzonka? Chyba niezupełnie.

Osobiście widzę dwa blisko siebie położone tereny wraz z budynkami, które w połączeniu mogłyby stanowić zupełnie dobry, jeżeli nie bardzo dobry teren wystawowy. Pierwszy to wielki plac w środku naszego miasteczka uniwersyteckiego. Można go przecież urządzić tak, aby przez cały rok służył naszym studentom jako park, a w ciągu dwóch tygodni trwania targów jako plac wystawowy. Gdybyśmy te targi urządzali w sierpniu, to ani ich przygotowanie, ani zlikwidowanie nie miałyby żadnego wpływu na życie uniwersyteckiego ośrodka. Więcej — mielibyśmy przynajmniej trzy, a raczej cztery duże domy akademickie do dyspozycji — partery i sala na wystawy, pokoje wraz ze stolówkami do dyspozycji zwiedzających.

Drugi ośrodek to pobliskie zgrupowanie liceów przy Al. Racławickich. W okresie wakacji stoją puste z wyjątkiem krótkiego okresu remontów, podobnie jak ich boiska. Tuż obok są dwie szkoły powszechne, kończy się budowę innej szkoły przy ul. Długosza, w pobliżu istniejące doskonale przystosowane do celów hotelowych bursy międzyszkolna, po drugiej stronie Al. Racławickich internat szkoły budowlanej, kilkaset metrów dalej liceum Staszica.

Już słyszę głosy oburzenia niektórych: szkoła jest do nauczania, a nie do urządzania wystaw!

Tak oczywiście — do nauczania. Ale czyż takie czy inne targi to nie szkoła, tyle że przede wszystkim dla starszych, następnie dla młodzieży? Czyż targi to nie szkoła coraz lepszej produkcji, coraz szerszego asortymentu wyrobów naszej gospodarki, bardziej intensywnego postępu technicznego, pomysłowości producenta i handlowca, szkoła współzawodnicząca dla wszystkich jednostek gospodarczych, szkoła zarządzania naszą gospodarką, projektowania i planowania, szkoła i uniwersytet coraz wyższej dojrzałości społecznej?

Na zakończenie jeszcze jeden, wcale nie najmniej ważny argument. Oczywiście nie obejdzie się bez pewnych nakładów pieniężnych na budowę różnych pawilonów czy urządzeń. Nie będą one zbyt wysokie, jeżeli zrezygnujemy z gigantomanii na rzecz postawienia lekkich, łatwych do zdemontowania

i ponownego postawienia za rok, niezbyt wielkich pawilonów. Poważną część kosztów poniosą zapewne wystawcy, z tego prostego powodu, że przy dobrej organizacji targów to im się po prostu opłaca.

W czasie pobytu w Poznaniu rozmawiałem także z kierownikiem wydziału finansowego rady narodowej. Miasto jest dwa razy większe od Lublina. Ale właśnie ze względu na swoje Targi, ma budżet niemal cztery razy większy od naszego, w czym poważną część stanowią dotacje. Ważniejszą jednak rzeczą jest to, co dzięki tym Targom zyskuje miasto i jego obywatele. Rachunek był długi i dość skomplikowany. Obliczyliśmy wzrost obrotów handlu i usług, transportu i komunikacji, gastronomii oraz kin i teatrów, wzrost produkcji przemysłu terenowego i spółdzielczości pracy. Potem bezpośrednie dochody ludności za wynajmowanie pokoi (wspaniale to jest zorganizowane i całkowicie niedostępne dla kwaterek), wzrost premii za wykonanie planów, dodatkowe usługi itp. Okazuje się, że pod postacią zwiększonych wpłat do budżetu przez różne przedsiębiorstwa kasa miejska zyskuje na czysto co najmniej 25 milionów zł, a ludność ok. 5 milionów zł. Interes więc i od tej strony okazuje się korzystny, nie mówiąc o zyskach skarbu państwa w dewizach, no i samych transakcjach handlowych.

ROZMYŚLANIA na targowej lawce w Poznaniu zakończyłem zjedzeniem porcji słynnych już w całej Polsce lodów „Calypso”. Gdańska chłodnia zalała nimi, a właściwie zamroziła, pół Polski. Jak dotąd ten smakołyk nie dotarł jeszcze do Lublina. I nie wiem, czy mieć pretensję do naszych handlowców, czy też do lubelskiej czy zamojskiej chłodni, które mogłyby na tym zrobić niemal złoty interes. Co, jeszcze jeden projekt? Chyba nie tylko autor jest gotów zrezygnować z „Calypso” pod warunkiem, że ktoś wreszcie weźmie się do rzetelnego, opartego na ekonomiczno-społecznym rachunku opracowania sprawy Targów Wschodnich w Lublinie. Niestety jak dotychczas poza mglistymi półsłówkami nikt się tym poważnie nie zainteresował. No cóż — ze słowa, pisanego lub mówionego utrzymuje się niewielu ludzi. Ale z półsłówek chyba nikt.

Jerzy Dostatni

P. S. Targi Wschodnie w Lublinie mogłyby odegrać także niezwykle ważną rolę w przygranicznej, bezdewizowej wymianie towarowej z zachodnimi republikami ZSRR przez nasze wschodnie województwa. Ale chyba Białystok nas ubiegnie...

SZKOLNE JUTRO

(Dokończenie ze str. 1)

jesienią i wiosną. Wówczas uczeń przemienia się w robotnika rolnego i nie ma siły, która by ściągnęła go z pola do szkolnej lawy. W tym wypadku bodźce ekonomiczne całkowicie wypierają naukę na plan dalszy, dając pierwszeństwo np. wykopkom ziemniaków. Zwykle od tego zaczyna się opuszczanie szkoły, a że nauka tylko w sezonie zimowym nie przynosi nadzwyczajnych efektów — dzieci po pierwszych niepowodzeniach opuszczają szkołę na zawsze. Przeróżnych metod używano, żeby nawrócić zbłąkanych uczniów na drogę wiedzy. Środki pedagogiczne stosowane przez nauczycieli wobec „opornych rodziców” zawodzą. Łagodna perswazja w większości wypadków chyba celu.

Wobec tego wybiera się bardziej drastyczne metody. Kolegia orzekające rad narodowych wzywają przed swe oblicze ludzi zalegających w podatku, dostawach obowiązkowych i w... posyłaniu dzieci do szkoły. Wymierzają się grzywnę stosownie do przewinienia. Oświata kosztuje od 500 zł do 3 tysięcy... To są sprawy przykre i żenujące, ale trudno, nawet krzyknąć gromkim głosem, że cel nie usługuje takich środków wychowawczych. Kary pieniężne skutkują i dzięki nim ściągnięto do szkoły wielu uczniów. Znam i taki przykład, który warto odnotować. W pewnej wsi powiatu biłgorajskiego rodzice zatrudniali przy chałupniczej produkcji włosianki syna w wieku szkolnym. Kolegium orzekające wzywało ich kilkakrotnie i kilkakrotnie wymierzało kary pieniężne. Chłopak zarabiał na własne utrzymanie i na grzywny, które rodzice syste-

matycznie płacili i jeszcze mu się ten interes” opłacał.

Taka sytuacja nie daje gwarancji, że do oświatowej szkoły podstawowej pójdzie tłumnie cała wieś. Trzeba będzie równoległe do pracy szkolnej deptać ścieżki do wiejskiej mentalności i mimo wszystko w większym stopniu działać na świadomość niż na kieszeń. Założmy optymistycznie, że wszystkie dzieci zsiądą w szkolnej lawie. Poczują się osiem lat i 50 procent z zapisanych do klas pierwszych ukończy szkołę z wynikiem dodatnim. Prawo do czynienia takich przewidywań dają dotychczasowe doświadczenia. Zaledwie połowa uczniów kończy klasę siódmą po siedmiu latach nauki. Trochę po ośmiu i po dziewięciu, a czwarta część nie kończy szkoły podstawowej wcale. Skutki? W fabrykach pracują niedouczeni młodociani robotnicy. Brak świadectwa ze szkoły podstawowej hamuje wszelkie możliwości dokończania zawodowego.

Zetknęłam się swego czasu z ankietą przeprowadzoną przez nauczycieli w jednej ze szkół województwa lubelskiego. Przedmiotem badań były przyczyny znacznego „odsiewu” uczniów szkoły podstawowej. Wyniki były co najmniej zaskakujące. Powodów doszukiwano się wszędzie w złych warunkach materialnych dzieci, w niewłaściwej atmosferze domu rodzinnego, w braku dyspozycji umysłowych do nauki. Najmniej winy znajdowano w szkole, w niedostatkach warsztatu pedagogicznego, w niedoskonałości nauczycieli. Jakoś trudno doszukać się obiektywizmu w takim traktowaniu zagadnienia. Gdyby szkoła było doskonała, można by sobie darować reformę, ewentualnie poczekać z nią na bogatsze czasy.

ROKROCZNIKIE żelazną pozycją dziennikarskiego „repertuaru” w okolicach czerwca są publikacje z okazji egzaminów wstępnych do szkół średnich. Lektura cytatów z prac pisemnych z języka polskiego wprawia czytelnika w zmienne nastroje dobrego humoru i smętnej zadumy. Można by rubrykę „humor z zeszytów szkolnych” w „Przekroju” zapełnić do wyczerpania na cały rok. Zresztą niezamierzona twórczość satyryczną dzieci — przejaw indywidualizmu, oryginalnego spojrzenia na zagadnienia, samodzielnego potraktowania — cenię wyżej od zdań podręcznikowych, oklepianych, wkućtych w pamięć i przepisywanych mechanicznie do zeszytu. Otwiera się szufladka, do której dziecku nałożono formułek, wyskakują z niej w razie potrzeby wiadomości wyuczone z podręcznika, wypowiedziane słowami książki. Schemat myślenia jest u absolwentów szkół podstawowych zatrwajał podobny. (Znajomość prawideł polskiej pisowni pozostawia również wiele do życzenia). Wolanie „uczmy młodzież samodzielnego myślenia” rozlega się jak Polska długa i szeroka — pod adresem szkół podstawowych, średnich i wyższych.

Jeżeli się przez siedem lat nakłada na dziecko uniform podręcznikowych formułek, trudno wymagać, by wybyło się takich kategorii myślenia po przekroczeniu progu szkoły średniej. Chcę się ustrzec od uogólnień. Są szkoły podstawowe i to w miejscowościach odległych od większych miast, w których praca nauczycieli przynosi dobry plon. Ale takich szkół jest mało.

Powodzenie reformy ustroju szkolnego jest jak najściślej uzależnione od nauczycieli, którzy w codziennej pracy będą nadawać uczniu nowy kształt. Wypada przypomnieć ten truizm, bo nierzadko właśnie z powodu oczywistości sprawy jest ona traktowana marginesowo. Rzecz w tym, aby do szkoły ośmioletniej wprowadzić dobre doświadczenia obecnej szkoły podstawowej odrzucając to wszystko, co było jej niedostatkami i hamowało rozmach w pracy pedagogicznej. Żeby jedna klasa dodana do szkoły podstawowej nie stanowiła pomostu, po którym przejdzie niespostrzeżenie schematyzm i rutyna.

SPRAWA najpilniejszą jest wykształcenie setek nowych nauczycieli i dokończanie nauczycieli czynnych. W latach powojennych drogi kształcenia kadr pedagogicznych były różnorodne. Potrzeby społeczne wymagały skróconego systemu kształcenia byle prędszej dostarczyć do szkół nauczycieli o kwalifikacjach podstawowych. Wielu spośród tych pracowników ugruntowało wiedzę przez samokształcenie i bogate doświadczenie w pracy. Im też należy stworzyć warunki do uzupełnienia wyższych studiów zawodowych czy uniwersyteckich (warto przypomnieć, że UMCS z myślą o dokończaniu nauczycieli zamierza stworzyć w Zamościu punkt konsultacyjny). Nauczycielom nie mo-

ANDRZEJ
TCHÓRZEWSKI

Próba rzeki

bardziej doniosła była
zmyliłem ją słowem

mul osiadł
na powiekach i trzcina wyrosła

ryby odwyraastały od fal

ich zwyczajem nie-słowo
ale przepływanie

rzeka przylega wtedy
jeśli przez nią patrzę

*
*
*

oto jest czas mijania
gdy gałąź omija drzewo
już nie spotkamy się
o przeźroczystych oczach
i —

kwiat który jest tylko kwiatem
drzewo w pełni
pochód rąk moich

WINCENTY FABER

Biwak

Na skraju lasu ustawiamy dzień
na brzegu rzeki
wiatr czuwa na warcie
Rozbijamy
wielki namiot nieba
Sztandar słońca
wiążemy na maszcie

A gdy noc złączy
las
w ogromną bryłę
zmęczone gnaty
złożymy na mechach

A kto nie zechce spać
pod gołym niebem
dostanie chmurę
dodatkowy dach

zna odmówić pilności w nauce. Rokrocznie zgłaszają się na różne kursy, a w tym roku liczba zgłoszonych pobiła rekordy. Kursy dają jednak pomoc doraźną, wygasającą dość szybko i znów trzeba szukać nowych krótkotrwałych sposobów wzbogacenia wiedzy.

Na czasie jest chyba propozycja, by w nauczycielach szkół podstawowych budzić większe zaufanie do trwalszych metod kształcenia, przede wszystkim do uniwersyteckich studiów zaocznych. Niemalże wątpliwości budzi też usytuowanie liceów pedagogicznych w miejscowościach odległych od centrów kulturalnych.

Mamy na Lubelszczyźnie kilka takich placówek w Leśnej Podlaskiej, Szczębrzeszynie i Piaskach. Leśna Podlaska Liceum Pedagogicznemu zawdzięcza swe istnienie na mapie. W latach międzywojennych Macierz Szkolna wniosła tu okazały gmach z przeznaczeniem na kształcenie nauczycieli i tak już pozostało ze szkoda dla przyszłych pedagogów. Do liceum przychodzi przeważnie młodzież wiejska. Po kilku latach nauki wraca pod strzechę, do pracy w szkolnictwie wiejskim, nie zaznawszy niczego, co daje cywilizowane miasto (nawet powiatowe). Mówi się o przeniesieniu Liceum Pedagogicznego z Leśnej do Białej Podlaskiej. Oby ta przeprowadzka nastąpiła jak najrychlej.

ZAWARTE tu myśli stanowią zalety dziennikarską próbę wniesienia w merytoryczne problemy zbliżającej się reformy ustroju szkolnego. Ważne jest nie tylko gdzie i za co ją przeprowadzimy, lecz przede wszystkim jak.

Zawód nauczycielski jest zawodem twórczym, chociaż często się o tym zapomina. Na pedagogów-twórców, niecierpliwych eksperymentatorów czeka ośmioletnia szkoła.

Zofia Dublewicz

Profesor Żeleński

W 20 rocznicę śmierci T. Boya-Żeleńskiego

JESIENIA 1939 roku Tadeusz Boy-Żeleński wraz z całą falą uchodźców z Polski centralnej znalazł się we Lwowie. Miał tam krewnych: znany lekarz lwowski, profesor Grek, był jego szwagrem. U niego też Boy zamieszkał zdecydowawszy się pozostać we Lwowie jak profesor literatury francuskiej na Uniwersytecie. W tym okresie spotykałam się z nim jako studentka pierwszego z drugiego roku romanistyki. Nie były to oczywiście kontakty typu osobistego; toczyłam z nim rozmowy przy okazji wykładów, zajęć seminaryjnych, egzaminów, konsultacji. Spojrzenie moje na Boya było więc spojrzeniem z dystansu lawka-katedra, a przy tym z dystansu osoby bardzo młodej spojrzeniem osoby bardzo młodej i niedojrzałej. Może jednak warto utrwalić to, co o nim zapamiętałam, bo ten okres w życiu Boya jest stosunkowo mało znany, a z ówczesnych jego studentów niewiele pozostało przy życiu. Większość moich kolegów stanowili uchodźcy pochodzenia żydowskiego i Niemcy po zajęciu tamtych terenów dokonali wśród nich istniejącego hekatomb. Ale w latach 1939-41, jakkolwiek wszyscy byliśmy przynębieni rozwojem wydarzeń wojennych, ani profesor Żeleński, ani moi koledzy nie zdawali sobie jeszcze w pełni sprawy, jak tragiczny los ich czeka. Te dwa lata na Uniwersytecie były dla nas względnie normalnymi latami pracy, nauki, młodości.

Z Boyem-Żeleńskim zetknęłam się od razu przy pierwszym kroku na uniwersytecie, a mianowicie przy egzaminie wstępnym. Jak zwykle, na romanistykę zdawało mnóstwo dziewcząt. O Boyu większość tych osiemnastolaterek wiedziała niewiele, a jeśli, to głównie ze zgorzonych szeptów starych dewotek. Poszła plotka, że aby dobrze zdać u Boya, trzeba pójść z dużym dekoltem. Co głupsze w istocie tak zrobiły, ale — jak dowiodła potem lista przyjętych — nie przyczyniło im to sukcesu.

Sam egzamin pamiętam doskonale, odbywał się w małym gabinecie, na prawo od wejścia do zakładu, a ja zdawałam go jako jedna z ostatnich w danym dniu, już koło dziewiątej wieczorem. W komisji były dwie osoby, obie dziś nieżyjące: Boy-Żeleński i dr Lidia Łopatyńska. Do egzaminu ustnego (pisemny odbył się wcześniej) należało przedstawić listę lektur. Na mojej figurowała między innymi „Lamiel” Stendhala. Boy zaczął rozmowę od tej książki, a potem zapytał, dlaczego chcę studiować właśnie romanistykę. Odpowiedziałam, że wcale nie chcę, że wybrałam się na filologię klasyczną, ale wobec zniesienia tej dyscypliny nie po-

zostawało mi nic innego, jak wybrać stosunkowo najbliższą, a więc właśnie romanistykę. — A lubi pani literaturę francuską? — zapytał Boy (egzamin odbywał się po francusku). — Nie. — A dlaczego? — Bo taka cyniczna! — odrzekłam pryncypialnie a głupio. Boy się uśmiechnął, zadał mi jeszcze kilka czysto literackich pytań i podziękował. Wyszedł zgnębiona i pewna, że wszystko przepadło. Stałam jeszcze smutnie w przedpokoju, gdy egzamin dobiegł końca. Boy opuścił gabinet, a zobaczywszy mnie, podszedł i wyciągnął rękę: — Gratuluję, świetnie pani zdała...

Nie pamiętam już dokładnie, jak to było potem, ale regularne zajęcia odwlekały się, a natomiast Boy miał jakoś od razu wykład powszechny o Prouście. Na tym wykładzie z początku dążył się niesamowite rzeczy, przychodzili studenci z wszystkich filologii i innych jeszcze kierunków, tłoczyli się w ławkach i we framagach okien. Wszyscy słuchali z nabożeństwem; co do mnie, ośmielona sukcesem egzaminacyjnym, postanowiłam wyekspluatować Boya jako krytyka. Jak większość młodych osób pisałam wówczas wiersze, ciotkom i kuzynom nawet się podobały, ale nie byłam tak całkiem pewna ich kompetencji w tej mierze, a Boy był pierwszym prawdziwym literatem, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Przepisałam więc moje dzieła najpiękniejszą kaligrafią, zwinęłam w rulonik, przewiązałam wstążeczką, przez jakiś czas jeszcze zbierałam się na odwagę i nareszcie któregoś dnia po wykładzie pomaszerałam do Boya. Powiedziałam, że to są właśnie moje wiersze, prosiłam, aby chciał je wziąć, przeczytać i ocenić. Mam jeszcze w oczach zażenowany uśmiech, a raczej grymas Boya, gdy mi oświadczył: „Bardzo panią przeproszam, nie znam się na poezji współczesnej...”. Odeszłam jak zmyta, zrozumiałam, że to odprawa, dana przez człowieka, który nie ma czasu ani ochoty zwracać sobie głowy głuźtawami. Całe szczęście, że Boy, zaabsorbowany swoimi sprawami nie miał pamięci do twarzy studenckich i potem na terenie zakładu nigdy chyba nie zidentyfikował mnie z ową „spławioną” przez siebie „poetką”.

A spotykaliśmy się potem często, gdyż prowadził wykład kursowy z literatury francuskiej, z literatur zachodnio-europejskich i odpowiednie preseminarium.

Boy nie był najlepszym wykładowcem. Jego wielka wiedza z zakresu literatury francuskiej dotyczyła przede wszystkim pewnych okresów i pewnych postaci, szczególnie mu bliskich z racji prac przekładowych; sprawy mniej dla siebie atrakcyjne znał, jak się zdaje, raczej powierzchownie. Zapewne też, przynębiony zarówno swoją sytuacją

osobistą, jak ogólnopolityczną, nie bardzo się na te wykłady wysilał. Z zasady brał tom „Literatury powszechnej” Trzaski, Everta, Michalskiego z odpowiednim rozdziałem i po prostu czytał tekst, z rzadka go komentując. W dodatku miał zwyczaj kreślenia po książce, o co potem miłano nawet pretensje do Bogu ducha winnych studentów. Inaczej wyglądał wykład, gdy trafił się temat bliski sercu Boya, na przykład Villon czy Moliere. Wtedy oczywiście książka szła w ką, a Boy mówił — barwnie, dowcipnie, inteligentnie, tak jak pisał, fascynując słuchaczy, mimo iż głos miał słaby, z lekką ochrypłą, o niezbyt ładnym timbrze. Ale takich improwizowanych wykładów było niewiele, przeważały „czytane”, co też przyczyniło się do gwałtownego spadku frekwencji wśród słuchaczy. Pod koniec roku akademickiego, na wiosnę 1940, na wykłady kursowe Boya przychodziło trzy, cztery osoby. Boy, pozbawiony jak się zdaje ambicji pedagogicznych, traktował to zresztą z humorem. Pamiętam taki obrazek. Mimo pięknej majowej pogody na wykład Boya czeka gromadka jakichś siedmiu osób. Profesor wysuwa głowę z drzwi i pyta z udanym zdziwieniem: — Czy to aby na pewno mój wykład? Taki tłum...

Mimo wszystko studenci otaczali Boya swego rodzaju kultem, zdając sobie przynajmniej w części sprawę z jego klasy intelektualnej. Z moich własnych przeżyć, charakterystycznych jako Boya-profesora, jeszcze jedno utkwiło mi w pamięci. Dotyczy ono egzaminu z literatury zachodnioeuropejskiej (bo w programie radzieckim przedmiot taki — bardzo słusznie — figurował). Boya egzamin wyrażnie nudził, odrabiał byle zbyć, miał zresztą pewien schemat pytań, powtarzających się dosyć regularnie. Z tej serii na mnie wypadło pytanie o Lessinga. Napompuwana wiedzą podrecznikową, wyrecytowałam wianuszek pochlebnych formułek na temat „Miss Sary Sampson” i „Minny von Barnhelm”. Boy wysłuchał tego niezbyt uważnie, po czym zapytał: — A teraz niech mi pani powie tak po prostu, czy pani się te sztuki podobają? — No, tak właściwie... to są dosyć nudne. — Boy się rozjaśnił: — Mnie się też tak zdaje...

Ostatniego egzaminu u Boya nie zdawałam: wyznaczony już termin wypadł w dwa czy trzy dni po napadzie Hitlera na Związek Radziecki. Mimo stanu wojennego panującego w mieście poszłam jeszcze na Uniwersytet. Pod ogrodem Jezuitów natknęliśmy się (bo matka nie puściła mnie samej) na okrytego papierem trupa, gmach Uniwersytetu ział pustką, kilka okien było wybitych.

W jakiś czas po wkroczeniu Niemców do Lwowa zaczęto szeptać o wymordowaniu profesorów. Był wśród nich także Tadeusz Boy-Żeleński. O czym myślał ginąc z rąk zbirów? Może wspominał słowa tłumaczonych przez się „Myśli” Pascala: „Ostatni akt jest krwawy, choćby cała sztuka była i najpiękniejsza: gruda ziemi na głowę i koniec na zawsze”.

Anna Tatarkiewicz

PRZEGLĄD LITERACKI

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

W ubogiej gamie rodzajów literackich wypowiedzi jakimi posługują się od lat nasi krytycy, najbardziej chyba boleśnie uderza niemal zupełnie brak gatunku określanego najogólniej portretem pisarza bądź — innymi słowy i w trochę odmienniejszej konkretyzacji — szkicem problemu. Gatunek ten, uprawiany przed wojną, a i po wojnie najchętniej przez historyków literatury o zacięciu esejistycznym, jak np. Wacława Borowego, Tadeusza Mikulskiego, Kazimierza Wykę, cieszy się co najmniej od pozytywistycznych czasów żywą sympatią szerszych, aniżeli profesjonalne, kręgów czytelników, także — jeśli nie przede wszystkim — tych, którzy szukają u krytyka literackiego kierownictwa przy wyborze lektury, wskazówek dla jej należytego zrozumienia, ideowej interpretacji, artystycznej oceny. Portret literacki — jeśli szkicuje go wartości i odpowiedzialnie pióro, nie zaś toporny dyletantyzm w oparach kawiarnianej plotki — stwarza najpełniejsze możliwości dla zaspokojenia tego zamówienia społecznego, opery — bowiem zarówno subtelnej (nie brzydzącej się intelektualną interpretacją tekstu) analizą estetyczną, jak i śmiałą syntezą ideową, kształci najszybciej i najtrwalej wrażliwość i smak literacki odbiorcy, urabia jego „porządek filozoficzny”, budzi zrozumienie dla społecznych wartości, urwarunkowań i obowiązków kultury i sztuki każdej epoki.

Argumentem dla powyższych twierdzeń są przede wszystkim przypominane w dwutomowym, reprezentatywnym wyborze i opatrzone znakomitą wstępem (właśnie — portretem literackim!) przez prof. Henryka Markiewicza „Pisma krytycznoliterackie” Piotra Chmielowskiego. Adresatami tej publikacji (wiele ciekawie, na mój gust, skomponowanej od eklektycznej w treści i bardzo nierównej w edytorskim opracowaniu czterotomowej „Antologii polskiej krytyki literackiej”) są nie tylko studenci polonistyki i zbieracze ciekawostek literackich; właśnie na „Pismach” Chmielowskiego można najłatwiej nauczyć się rozumienia i sympatii dla krytycznej pasji i profesji, rozsmakować się w uprawianym przez autora „Marii Konopnickiej” czy „Stanisława Wyspiańskiego” *con amore* portrecie literackim. Zdziwiała szczególnie świeżość i — rzekłbym nowoczesność — styl Chmielowskiego, prostota jego składni, komunikatywność słownictwa, która pozwala przelotnie i gładko nawet analizy i oceny badacza (wywołane przede wszystkim niewątpliwą głuchotą monografii „Najnowszych poezji Jana Kasprzowicza” na problematykę psychologiczną i estetyczną

(Dokończenie na str. 6)

MUZEUM PRUSA otwarte nie będzie?

ALINA TOMASZEWSKA

przesłał ów artykuł do „ołów” miasta Nałęczowa, do Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w Warszawie oraz do Ministerstwa Kultury. Apele te pozostały bez odpowiedzi. Jedyną reakcją było powstanie w Nałęczowie Społecznego Komitetu Organizowania Muzeum Prusa, który to Komitet po powstaniu nie wykazał żadnej aktywności. Sprawa wydawała się beznadziejna.

Jednak prof. Araszkiewicz okazał się człowiekiem upartym i z utworzenia muzeum nie miał zamiaru rezygnować. Tym bardziej, że Bolesław Prus nie ma dotychczas ani jednego pomnika. Uczczono go zaledwie dwiema tablicami pamiątkowymi, z których jedna znajduje się w Warszawie, druga w Nałęczowie.

Minęło kilka lat. Ziszczenie pragnień profesora przyniósł dopiero rok 1958. Ideą utworzenia Prusowskiego muzeum zainteresował się osobiście przewodniczący WRN w Lublinie, Paweł Dąbek. Z jego to inicjatywy do preliminarza wojewódzkiego na rok 1958 wstawiono dotację na muzeum Prusa w Nałęczowie. Sprawa ruszyła z miejsca.

Planami ekspozycji i projektami gablot zajęła się mgr Irena Iskrzycka, dyrektor Lubelskiego Muzeum na Zamku. W pracę tę włożyła wiele serca. Po-

nych podstawach o wygiętych profilach, przypominających nieco kształtem stare ławy używane na lubelskich wsiach.

Zdawałoby się, że gablota muzealna to nieważna artystycznie rzecz, wystarczy byle jaka osłona od kurzu i dotyku ciekawych rąk. A jednak... Te, które wypełniają się pamiątkami po Aleksandrze Głowackim, mają w swoim plastycznym kształcie coś z nastroju „Placówki”, „Antka”, „Michałka”...

ODNAJDYWANIE i zbieranie pamiątek rozsianych po całym kraju jest sprawą wymagającą wiele czasu i sił. Toteż prof. Araszkiewicz dobrał sobie na współpracownika swego ucznia — młodego prusologa mgr Stanisława Fiłę, autora pracy „Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości Prusa”.

Poszukiwania rozpoczęto od ogłoszeń w prasie, na które jednak nikt nie odpowiedział. Pozostała więc droga kontaktów osobistych. Mgr Fiła odbył przede wszystkim podróże do Gdańska, gdzie przebywa obecnie pani Helena Porębska, która po śmierci Prusa mieszkała przez pewien czas z jego żoną Oktawią. Pani Porębska posiada dużo pamiątek po wielkim pisarzu. Między innymi listy Oktawii do męża z czasów, z których nie zachowały się listy Prusa do żony (1905 r.), szereg fotografii rodzinnych oraz dwa zdjęcia robione osobicie przez Aleksandra Głowackiego. Pani Porębska zgodziła się na sporządzenie fotokopii. Przygotowuje też specjalny album rękopisów i zdjęć pisarza, który będzie można oglądać w dniu otwarcia muzeum.

Dalej poprowadziła droga poszukiwań do Warszawy, do pani Janiny Juszkiewiczowej, również kuzynki Oktawii Głowackiej. W posiadaniu pani Juszkiewiczowej znajdowały się fotografie, laurki, listy kondolencyjne, jakie otrzymał Głowacy po tragicznej

(Dokończenie na str. 9)

Z zakurzonymi włosami i oczami siadam pisać późno w nocy po powrocie z Lublina... Znowu dziś odbyliśmy wycieczkę tą samą czwórka. Wyjechaliśmy rano. Drogą pani Oktawia opowiadała mi historię pisania „Placówki”. Motywy wzięte były ze wsi Przybysławic i kolonii niemieckich, obok których jedzie się do Lublina. Pani Oktawia jeździła tam we dwójkę z Prusem, kiedy gromadził materiały. Chodzili tedy po chatkach i nad rzeczkę, o której mowa w „Placówce”, śladowali po pół dnia w Niemczech. Pisał Głowacki zamknięty na klucz w swoim pokoju na dole... — tak brzmi jedna z wzmianek o Prusie, których niemało znaleźć można w „Dziennikach” Zeromskiego pisanych w okresie jego pobytu w Nałęczowie. Ten fragment „Dzienników” miał już wkrótce zająć jedno z bardziej eksponowanych miejsc w muzeum Prusa, którego otwarcie z różnych względów już kilkakrotnie odkładano.

Miało być ono niewielkie: dwa pokoje o łącznej powierzchni 70 m². Jeden z nich to właśnie ten, w którym pisarz tworzył opowieść o dziejach chłopskiego uporu i przywiązania do ziemi.

Miał utworzenia Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie — myśl tak bardzo pożyteczna i słuszną — w realizacji swojej napotykała istne Karpaty prze-różnych trudności, które bynajmniej się nie skończyły jeszcze. Wypada jednak cofnąć się o kilka lat wstecz i odpowiedzieć nieco szerzej o jej dziejach.

PROF. dr Feliks Araszkiewicz z Lublina gros swoich badań naukowych poświęcił twórczości Prusa. On to właśnie pierwszy wystąpił z projektem utworzenia muzeum. Było to już po wojnie. Prof. Araszkiewicz napisał artykuł pt. „Nałęczów Prusa i Zeromskiego”, który następnie został zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym” w roku 1954 (artykuł ten wszedł w r. 1957 w skład tomu „Dzieła i twórcy”). Wraz ze specjalnym memoriałem postulującym utworzenie muzeum Prusa profesor

Afryka na co dzień

ANNA SUCHNICZA

Zamieszczamy fragment wspomnień Polki, która w rezultacie przeżyć wojennych znalazła się w obozie dla uchodźców w Afryce.

Na miejsce przeznaczenia trzeba jechać w głąb kraju kilkanaście godzin pociągami, następnie autami. Ciężarówkami z nowymi „afrykańczykami” zatrzymały się w zupełnie dzikiej, górskiej miejscowości, naszpikowanej małutkimi, okrągłymi budkami o szpiczastych dachach bananowych.

Ule te, zwane tukulami, były jeszcze nie pomalowane, pod nogami ziemia nierówna, pełna dołów i kamieni, zupełnie pozbawiona niebezpiecznej roślinności po niedawnym spaleniu.

Dookoła obozu za drutami stała zwarta masa dżungla. I to wszystko. Głucha rozpacz ścisnęła mi serce. Więc to tu trzeba będzie spędzać może lata całe?...

Tu na tym odludziu będą mijaly bezpowrotnie dni, miesiące... Tu się rozwije wiele nadziei, a będzie narastał smutek, jak grzyb drzewny...

Rozjeżdżałam się powtórnie. Jeszcze smutniejsze, jeszcze bardziej ponure wydało mi się Tengeru we śnie, w którym po raz drugi przeżyłam ostatni etap życia. Ale oto ziemia się zatrzęsała w nagłym dreszczu i wytrąciła mnie z łóżka na ziemię, po której maszerowały strumieniem szarawe wszy ziemne. Wystraszyłam się tym nagłym zetknięciem z tubylcami, nie wiedząc, że są one całkiem nieszkodliwe.

Nie tylko te owady były w chatce. Na ścianach siedziały rozmaite pajaki o świecących oczach czerwonych lub zielonych, tartantule grasowały w rozpakowanych walizkach, jakieś zielone kotki chwila się niepokoiły na cieniach kłozkach. Szybko się ubrałam i czym prędzej wyszłam na dwór.

Ranek był świeży, wszystkie drzewa pokrywały olbrzymie, jaskrawe kwiaty, przed każdą tukulą dymiło prymitywne ognisko, góra Meru powoli rozwijała się z liliowych mgieł, w które się otulała na noc. Gdy tak stałam, zapatrzona w cudny widok, ktoś w górze zaczął pytać grubym głosem: „Ile?” Jakież było moje zdumienie, gdy się przekonałam, że srogi bas należy do tukana, niedużego, czarnego ptaka o potężnym dziobie, ciekawie zwróconym na dół. Jeszcze bardziej rozśmieszyły mnie sępy, bezczelnie porwijące mięso z rak.

Wróciłam do okrągłaczka, aby zająć się śniadaniem. Było tam tyle miejsca ile trzeba na cztery łóżka oraz małą szafkę na produkty. Pośrodku stał stolik i cztery stołki. Przez szczeliny w bananowym daszku zaglądały gwiazdy, a podczas massiki lały się na głowy strugi wody. Oczywiście reperowano te dziury, za które odpowiedzialność ponosiły głównie koty. Zamiast podłogi — ubita ziemia. Zupełnie jak w bajce o dziadku i babie.

„Mieli chatkę maleńką, taką starą jak oni, jedno miało okienko i jeden był wchód do niej...”

Z tą różnicą, że nasze okienko nie miało nawet szyby.

Później nauczycielstwo i inni pracownicy otrzymywali domki większe, kwadratowe z cementową podłogą, ale to dalsza historia.

Trzy razy dziennie dzwonił gong kapliczny, kilka razy w dzień walono w szyny przy magazynach, nawołując do zbierania produktów, do wysłuchiwanie zarządzeń władz lub w razie pożaru.

Gdy zorganizowano szkoły, dzwoniła przybyło w trójnasób.

Pierwszego już dnia pobytu w porze przedwiozowej objawiła się nam cudna Kilimanjaro, odległa od Tengeru o 80 mil ang.

Pokryta wiecznym śniegiem, daleka i jakby unosząca się w przestworza, o wschodzie i zachodzie słońca różowiła się subtelnie, po czym liliowieje i niknie stopniowo, pozostawiając najczystszy zachwyt.

Koło domków i wewnątrz laziły niedoleżne kameleony, ofiary okrucieństwa kociego, w nocy chodziły po obozie lwy i hieny, nawołując się zawsze tym samym na wół pytającym „u-y-uu?” A małpy wyjadały z misek pozostawione na dworze jedzenie dla kotów.

Małpy — były jedyną naszą pociechą i rozrywką. Nie mając na razie książek do czytania, ani radia, ani kina, całą uwagę skierowaliśmy na przyrodę. Co one wyrabiały na drzewach — to trudno opisać. A jednak dokuczały innym zwierzętom. Duże były plągi Murzynów. Napadały zorganizowanymi bandami na pola kukurydziane, rozstawiały się w sznur, jedna z nich łamała zreżnięte kolby i podawała następnej, inne uważały na pilnujących ludzi. Po kilkunastu minutach pole było oczyszczone, małpy wiały z nareczkami słodkiego żarcia, a Murzyni wszczynali późniony wrzask i walenie w tam-tamy. Wprawdzie bębnią oni całymi nocami bez przerwy, lecz to dobre dla lwów, nie dla chtrych małp.

LE zaczniemy od ludzi. Co to za wesoły naród, ci Murzyni. A jaki zdolny i utalentowany!... Są to urodzeni artyści: muzycy, śpiewacy, tancerze i rzeźbiarze. Wycucie rytmu w nich nadzwyczajne, brak im natomiast poczucia obowiązku, co już jest winą zbyt miękkiej natury. Niektórzy z nich w zadziwiająco krótkim czasie nauczyli się mówić po polsku. Moja córka Krysia uczyła starego Murzyna pracującego w prywatnej palni, takich zwrotów, jak: chrząszcz brzmi w trzcinie, albo: „nie pieprz, Pietrze, pieprzem wieprza, bo przepieprzysz, Pietrze, pieprzem wieprza”, albo „Hryciu, Hryciu, do roboty, Hrycio każe: porwał bota” itp. Szło to dosyć opornie.

Pierwszego dnia wybrałyśmy się z Hildebrandową za obóz do arabskiego sklepiku po jaja i owoce. Niestety, do sklepiku nie sążone nam było dotrzeć z powodu ignoracji form towarzyskich tubylczych oraz ich make up, czyli maquillagu. Już zaraz za bramą obozową zaczęli nas mijać tłumnie i pojedynczo Murzyni z głośnym okrzykiem: „Jambru, mama!” co było jeszcze nic, ale prawie każdy z nich zachodził nam drogę i wyciągał rękę do gardła.

— Pokazują, że chcą nas zadusić — wywnioskowała pani Hildebrandowa. — Hm — chrząknęłam w odpowiedzi, czując ściskanie w krtani.

A tu do obozu daleko i ani jednej białej twarzy. Na domiar złego z dżungli wynurzyło się kilku straszliwie wysokich i nie mniej cienkich Massal z nożami w rękach. Twarze mieli wysmarowane czymś białym, włosy zaś czerwona gлина. Jeden z nich dotknął mego hełmu, pokazując kilka szylingów. Jak się okazało, chcieli po prostu kupić korkowe hełmy, szczyt elegancji.

Nie czekając na resztę, szybko zawróciłyśmy i wróciły z bijącym sercem do obozu, gdzie widok włóczących się Murzynów nie robił przykrego wrażenia. Gdyby nie dziwny sposób upiększania się, byłby całkiem sobie niczego, ale te uszy sięgające ramion i wargi wydłużone w potworny dziób — to coś okropnego. W poduszeczki uszu i w wargi wkładają kłociki drzewa, które po jakimś czasie zastępują coraz większymi, tak że po kilkunastu latach usta ich wyciągają się w ćwierć metrowe szufle, a uszy leżą na ramionach. Kobiety na szyjach noszą ogromną ilość metalowych obręczy, toteż szyje mają jak żyrafy. Im dłuższa szyja i im większa ilość obręczy, tym drożej kosztuje panna na wydaniu.

Ciało przykrywają nader skąpo, najczęściej skórą, udrapowanymi na sposób staro-rzymski.

Massaje są olbrzymiego wzrostu, ponurzy i niebezpieczni ludożercy z góry Meru. Inne szczepy całkiem możliwe, szczególnie dzieci, które chodzą nago. Łaziły one samopas po obozie i zbierały jedzenia oraz ubrania.

— Mama, czekula. — Podnosiły pro-

sząc czarne ramionka. Oczywiście dawala im stare sukienki oraz wszystko możliwe do zjedzenia.

Gdy murzyni lub jego matkę ubrać w suknię, to ją nosi nie zdejmując, aż się podrze i sama spadnie.

Często drogami osiedla przeciągały pochody murzyńskie, ze śpiewem i tańcami, czasem przejeżdżał na koniu król pod czarnym parasolem, za koniem szły królowe z dziećmi na plecach. Jeżeli dzieci było więcej, najmłodsze matka niosła w worku na „barana”, większe trzymała na lewym biodrze okraciem, inne za rękę, reszta biegła luzem.

Gdy dziewczyna dojrzeje, mniej więcej koło dziesiątego roku życia, zamykają ją do klatki stojącej pośrodku wsi i cała ludność ją odżywia intensywnie. Gdy panna zrobi się podobna do kluski, wydają ją za mąż. Nim dostanie męża, przywiązują jej do kostek u nóg dzwoneczki, co oznacza, że ta dziewczyna jest do sprzedania.

gorzej chłopcu, który po ukończeniu czternastu lat musi wkuć się między mężczyzn jakimś bohaterskim wyczynem, który nieraz przyplaca życiem.

Podczas uroczystości rodzinnych lub wioskowych, przed nimi i po nich a także i w przerwach, piją diabelnie mocną bombę, pedzoną z ryżu. Wówczas wpadają w szal, jak i ich bielsi bracia zresztą.

W pierwszym tygodniu naszego pobytu w Afryce zaszło małe nieporozumienie: oto pewnego wieczoru na górze Meru zapłonęły ogniska, zaczęły rozlegać się niesamowite wrzaski i zadudniły niepokojąco tam-tamy.

W obozie powstał popłoch, ludzie powyskakiwali z chatek.

— Nic innego, tylko będą nas rznąć — przyszli do przekonania.

Powstała panika, chciano uciekać, ale nie było dokąd.

Po paru godzinach przyjechał z ofisu kierownik obozu i wyjaśnił, że cała parada odbywa się właśnie na naszą cześć. Coś w rodzaju płomiennej defilady w nieco żywszym tempie.

W następnych kilku dniach Afryka zaczęła powoli odsłaniać swe piękne, lecz zabójcze oblicze. Jako przygrywka do późniejszych cierpień były dwie śmierci od porażenia słonecznego. Na równiku promienie słoneczne padają prostopadle, toteż, zamiast pieścić jak w Polsce, niszcza i zabija. Oczywiście wiele złego uniknęłoby się, gdybyśmy zachowywali przepisy angielskie, ale jesteśmy Polakami, a Polak mądry dopiero po szkodzie.

STRASZNA pląga były pchły ziemne, masowo wlażąc w ciało, szczególnie pod paznokcie rąk i nóg. W pierwszym roku niektórzy potracili przez nie palce, poza tym wszyscy bez wyjątku chodzili z ropiejącymi ranami, powstałymi z powodu nieumiejętnej usuwania pcheł i woreczka z jajami, którym się otorbiają wewnątrz ciała ludzkiego.

Niebawem dała się poznać druga pląga: wrzody tropikalne, wobec których wszystkie nasze karbunkuly i ropnie — to szczeniaki. Wrzód tropikalny trwa około siedmiu miesięcy. Trzecia pląga przyszła na nas ze strony pewnych much, które znoszą jaja na mokną bieliznę. Jeżeli jej nie wysuszyć dokładnie, jaja te za pomocą cieniutkiej spirali wkręcają się w ciało i tam się rozwijają w duże, tłuste, ruchliwe robaki, o czarnych oczach. Im robaki te starsze, tym energiczniej zaczynają się wiercić w mięśniach i tym większy ból sprawiają nosicielowi. Miałam w sobie setki pcheł, wykarmiłam swoim ciałem dziesiątki robaków, po wyściśnięciu których zostały twarde bliźny, pół roku kulalam z powodu wrzodu tropikalnego na lewej nodze, który się zakończył zakażeniem, lecz to wszystko głupstwo w porównaniu z królową pląg: malarią. Zaczęła się ona dawać nam we znaki już w parę miesięcy po osiedleniu i zgasiła radość życia.

Ale na początku byliśmy zdrowi, pełni energii i zapału do pracy oraz wiary w lepsze jutro. Wszystko nas interesowało, wszystko chcieliśmy poznać i zobaczyć.

Tymczasem różne istoty same nam się przedstawiały, zapewne także ciekawe obcych. I tak na przykład robaki koloru bordo, z wielu nogami, które po przejściu przez człowieka zostawiają ranę jak po oparzeniu trzeciego stopnia, szczególnie, gdy się spróbowało je zrzucić. Skorpiony, mające zwyczaj wlażyć w buciuki, duże węże plujki, których splunięcie w oczy powoduje silny ból i przejściową, kilkudniową ślepotę, węże drzewne, zielone jak szmaragdy, a trujące jak ciankali, straszliwe boa i olbrzymie, kosmate pająki ptaszniki, wysysające treść życia z ptaków.

W środku drugiej nocy w Tengeru poderwał nas na nogi rozpaczliwy krzyk, rozlegający się z domku nauczycielki Swierkoszowej. Cóż się okazało? Oto potężny wąż plujka wlażył w nocy do chaty i usnął na szafce stojącej koło łóżka. Gdy Swierkoszowa wyciągnęła w ciemności rękę po kubek z wodą, natrafiła na jego łeb. Wąż zebrał co miał w ustach i splunął obficie prosto w oczy domniemanemu nieprzyjacielowi, za co go później zabiło.

Jęcząc z bólu i strachu biedaczkę zaprowadzono do obozowego szpitala, który zaczął się już organizować. Od tego czasu w każdej tukuli przez całą noc palono lampę.

Pewien chłopak z sierocińca przechodził pod drzewem; naraz został trzeprnięty w głowę z taką siłą, że się wywrócił. Gdy poszedł przekonać się, co go tak zdzieliło, ujrzał potężnego boa, przewieszzonego przez konar i od niechcenia poruszającego końcem ogona. Szczęściem wąż był pograżony w miesięcznym śnie po przełknięciu sierocińcowej kozy i nie miał miejsca w sobie na chłopca.

Gorzej przytrafiło się oficerowi angielskiemu, który został poiknięty przez boa, ale ostroga jego buta zaczęła się o kąt ust boa i obaj zginęli w mękach.

Długo szukał go przyjaciel. Gdy przejeżdżał koło miejsca tragedii, oczy jego poraził „zajaczek”, jaki puszczała ostroga stercząca z paszczy węża i tak wyjaśniło się nagłe zaginięcie wojskowego.

(Dokończenie na str. 7)



RENEK ROUSSEAU: PEJZAZ EGZOTYCZNY

S KORO zapisałem się na uniwersytecie, zacząłem natychmiast szukać źródeł dochodu. Nauka była droga, w domu trzeba było też trochę pomóc, a i osobiste wydatki wzrastały, w miarę jak życie po wojnie zaczynało się układać normalnie i roztaczało wiele nowych możliwości i pokus przed bardzo młodym człowiekiem. Jednym słowem potrzebowałem dużo pieniędzy, lecz wiedziałem również, że nikt mnie ich nie da, jeśli sam nie zarobię. Zanim znalazłem tę zlotodajną żyłę, którą się okazała doskonale opanowana znajomość łaciny i możliwość sprzedaży tej wiedzy w postaci licznych i świetnie płatnych korepetycji wśród starszych dzieci zamożnych domów, próbowałem też i innych zajęć. Spędziłem na przykład kilka jesiennych miesięcy 1921 roku na głuchej wsi w powiecie krasnostawskim na tak zwanej kondycji.

Więć była pełna uroku, jesień, jak to jesień u nas, zawsze niezawodna, nawet ludzie, z którymi miałem współżyć nie najgorsi, lecz brak bliskiego mi środowiska, monotonia otoczenia, prawie zupełne zerwanie kontaktu z moimi przyjaciółmi — uczyniły mi w końcu ten pobyt nie do zniesienia. Toteż po kilku miesiącach udało mi się uwolnić od tej pracy, niezbyt uciążliwej, ale też nie przynoszącej zbyt wielkich korzyści. Byłem jednak przez pewien czas odosobniony od Lublina i dlatego nie mogłem uczestniczyć przy narodzinach nowej przgydy literackiej, która się nazywała „Lucifer”.

Przystąpiłem do akcji nieco później, ale mogę się pochwalić, że odegrałem niepoślednią rolę.

Dla mnie się to zaczęło pewnego jesiennego dnia, gdy z nudów udał się do pobliskiego miasteczka po papirosy, papier i inne sprawunki. Wstąpiłem również na pocztę, jakbym coś przeczuł. Wśród różnej korespondencji adresowanej do mnie znajdował się list z Lublina. Pisał Gralewski. Wbrew oczekiwaniom nie było tam żadnych plotek z życia wspólnych przyjaciół, ani nowinek uniwersyteckich. Natomiast wiadomość, że powstaje u nas nowe pismo literackie pod nazwą „Lucifer” i żeby do tego pisma przysłał natychmiast wiersz, najlepszy, najmocniejszy, jaki posiadam. Poza tym żadnych bliższych szczegółów.

Dla mnie pozostał jeden tylko problem: który z wierszy należy wybrać i posłać. Że trzeba niezwłocznie przystąpić do współpracy z nowym pismem, to dla mnie nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Udział w tej imprezie Gralewskiego, wypróbowanego towarzysza wielu uprzednich prac, był dostateczną dla mnie gwarancją jej jakości i poziomu. Przypuszczałem, zresztą jak się okazało błędnie, że spotkam się z ludźmi, których już znałem z redakcji pisma „Młodzież”. Chodziło o to, aby się zaprezentować najbardziej okazale.

Całą noc strawiłem na przeglądaniu mego dotychczasowego dorobku poetyckiego, by dokonać właściwego wyboru. Wierszy było dużo, boć przecież na wsi każda wolna chwila, a było ich немало, poświęcałem na czytanie i pisanie. Im dłużej jednak się namyślałem, tym coraz więcej znajdowałem braków w tych moich płodach. W końcu doszedłem do przekonania, że nie jest warte druku i poszedłem spać.

La nuit porte conseil. Rano zerwałem się z łóżka i już wiedziałem co mam posłać. Wybór padł na dwa wiersze: „Polityka” i „Dytyramb szatański”. Oba były pisane jeszcze w konwencji młodopolskiej, ale już pod pewnym wpływem nowych prądów literackich (futyryzm). „Dytyramb”, mimo pretenjonalnego tytułu, był wierszem raczej udanym, a w każdym razie mocnym. Zarówno symbolika, jak i metaforyka obracała się w sferze pojęć religijnych i kulturowych, a niektóre zestawienia i wnioski poetyckie były bardzo śmiałe i nawet szokujące.

Wysyłając ten wiersz do druku nie przypuszczałem ani przez chwilę, jaką zrobi on karierę. Posłałem do wyboru przecież dwa wiersze: „Polityka” była zupełnie odrębna w tonie o zacięciu raczej satyrycznym. Nie myślałem również przy wyborze o charakterze pisma, w którym będę drukował, zresztą o tym niewiele wiedziałem, ani o jego tytule. Chciałem po prostu, żeby wiersze były najlepsze z tych, które napisałem i mocne w wyrazie. Tego przecież domagał się Gralewski. Byłem więc zadowolony. Teraz już tylko należało oczekiwać odpowiedzi i jak najwięcej informacji.

Nadeszły. Nie od razu. Stopniowo. JAK się okazało, inicjatywa wydawania pisma powstała wśród grupy studentów uniwersytetu lubelskiego, grupa była nieliczna, kilkusobowa, lecz o dużych ambicjach

i bardzo pewna siebie. W skład jej wchodził oczywiście Gralewski, którego obecność zaznaczała pewną ciągłość z poprzednimi naszymi próbami wydawniczymi. Większości tych osób nie znałem zupełnie. Byłem nawet tym zaskoczony, gdyż wydawało mi się, że w Lublinie, jeśli nie osobiście, to przynajmniej ze słyszenia znam spośród młodzieży uprawiającej literaturę wszystkich tych, którzy „się liczą”, jak to się u nas mawiało.

A właśnie osobą bardzo czynną i rzucającą się w oczy przy narodzinach „Lucifera” była lublinianka, córka dyrektora szkoły żeńskiej, Dziewanna Włodarska i jej narzeczony, później mąż, Jan Nałęcz-Lipka. Włodarska była to niewiasta postawna, o twarzy nieładnej, ale oryginalnej i ciekawej. Inteligentna, śmiała, nosiła się ekscentrycznie i zwracała na siebie uwagę. Oczywiście pisała wiersze.

Lipka mieszkał w Warszawie, jego powiązania z Lublinem były przez osobę Włodarskiej. Później po ślubie wyjechali oboje na stałe do Warszawy.

Lipka wyróżniał się błyskotliwą inteligencją, znajomością języków i dużym czytaniem. Był dokładnie poinformowany o wszystkich prądach i kierunkach literackich Zachodu i to z pierwszej ręki. Naturalnie pisał wiersze. Niestety, cała jego erudycja i kultura literacka nie przejawiała się w tej poezji, która nie wychodziła poza ramy epigonów Młodej Polski.

Poza tą trójką było jeszcze kilku młodych ludzi, których nazwisk sobie

Nigdy już później ten wiersz nie był drukowany. Tam, gdzie chodziło o religię, cenzura była bezwzględna. Siła kleru była przecież bardzo znaczna. Ówczesne rządy nie mogły i nie chciały mu się sprzeciwić. Po wojnie sytuacja zmieniła się radykalnie, a jednak wiersza nie mogłem drukować, ponieważ mógł być uznany za urażający uczucie religijne pewnej części obywateli, a uczucia te chronione są surową sankcją karną. W roku 1951 przy jakiejś okazji czytałem ten wiersz Putramentowi i Wygodzkiemu. Oba zgodnie orzekli, że o druku nie ma mowy.

A szkoda. Wiersz już oczywiście myszką trąci, pisany w przestarzałej konwencji, jednak narobił w swoim czasie dużo szumu i zamętu. To już prawie historia.

Wróćmy jednak do „Lucifera”. Oprócz tych trzech pozycji opisanych powyżej, było sporo innych. Wiersze Włodarskiej, jakaś proza, jakieś przekłady, ale to wszystko było nieważne, nie odegrało żadnej roli, nawet nie zostało zauważone. Numer jako redaktor podpisała Dziewanna Włodarska i oddano go do druku.

NA Placu Litewskim, niedaleko kina „Corso”, znajdowała się niewielka drukarnia, której właścicielem był inwalida wojenny, emerytowany kapitan, Stanisław Wójcik. Nazwisko tego człowieka warto zapamiętać, gdyż dzięki niemu niejedno wydawnictwo literackie w Lublinie ujrzało światło dzienne. Wójcik uważał się za przyjaciela artystów, a w szczególności literatów i niejednokrotnie odegrał rolę mecenasa. Drukował na kredyt, długo i cierpliwie czekał na zapłatę i przeważnie ją w końcu bonifikował. Niejednokrotnie dodawał jeszcze swój papier.

Tak też było w wypadku „Lucifera” i dlatego ta impreza mogła być zrealizowana, gdyż nie potrzebowała żadnych funduszy. Honorariów autorskich wtedy się nie płaciło, a reszta, to już była wielkoduszność kapitana Wójcika.

Na długo jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru po mieście zaczęły krążyć różne gadki na temat naszego pisma. Podawano sobie z ust do ust pewne szczegóły, a nawet wyjątki z naszych utworów, przeważnie potwornie zniekształcone i zwulgaryzowane. Szczególnie w tym celowała mieszczańska koltuneria i dewocja. Poprzez zakryte wieści te dotarły do właściwych uszu i niektóre kółka duchowieństwa wyraźnie się zaniepokoiły. Co prawda — to niewiele jeszcze wiadano, ale przypuszczano coś niedobrego, a sytuacji nadawał specjalnej pikanterii fakt, że głównymi sprawcami tego bluźnierstwa, czy też herezji, mieli być wychowankowie Katolickiego Uniwersytetu.

Oczywiście z kolei zainteresowały się nimi władze. Polecono więc pilnie baczyć na drukarnię i nie dopuścić do rozpowszechnienia wydawnictwa.

Tu należy wyjaśnić procedurę, jaki wówczas obowiązywał przy tego rodzaju sprawach. Cenzury prewencyjnej nie było i wobec tego nie było obowiązku przedstawiania do aprobaty właściwej władzy publikacji, którą się zamierzało rozpowszechniać. Gdy jednak druk ukazał się już w sprzedaży, a w treści jego władze dopatrywały się cech przestępstwa, cały nakład ulegał konfiskacie. Konfiskatę zatwierdzał Sąd, a ponadto Prokuratura mogła wszcząć dochodzenie karne przeciwko sprawcy, to znaczy autorowi, lub redaktorowi odpowiedzialnemu. Toteż władzom administracyjnym zależało, żeby konfiskatę przeprowadzić jak najszybciej i jak najdokładniej, by jak najmniej egzemplarzy zdążyło się rozejść i dostać się do rąk czytelników.

Zaczął się więc nachodzenie drukarni o różnych porach i indagowanie jej właściciela, który mógł dobrowolnie coś powiedzieć o treści składanych druków, ale zmusić go do tego nie było wolno. Wójcik te wizyty znosił ze spokojem i humorem, a interesujące ich pytania zbywał kpinkami lub dawał odpowiedzi wymijające.

Szczególnie upamiętnił się urzędnik starostwa grodzkiego, pełniący prawdopodobnie wtedy obowiązki cenzora, o nazwisku Rutkowski, imienia już nie pamiętam. Szczupły, suchy, z wąsami, w okularach, stał się niemal codziennym gościem drukarni. Jego zdenerwowanie w miarę upływu czasu rosło. Skoro tylko przekroczył próg, zamiast słów powitania, już zwracał się do Wójcika:

„Oficjalnie się pana zapytuje, kiedy wyjdzie „Lucyfer”?”

Ten zwrot cieszył się u nas ogromnym powodzeniem.

I choć odpowiedzi nigdy nie usłyszał, to jednak upilnował odpowiedni moment. Zaraz po oficjalnym ukazaniu się pisma konfiskata, z dawną już przygotowana, nastąpiła momentalnie i dokładnie. Tylko niewielką ilość numerów udało się nam ocalić od pogromu.

Zarządzenie o konfiskacie ochoczo zatwierdził Sąd, a Prokurator bezwzględnie wszczął śledztwo przeciwko autorom inkryminowanych utworów, w których dopatrywał się cech przestępstwa z art. 73 Kodeksu Karnego, wówczas obowiązującego. Artykuł ten mówił o bluźnierstwie i przewidywał karę od 2 do 6 lat więzienia.

Bomba wybuchła. Niewątpliwie dla Lublina sensacja to była wielka. Istotą skandalu były jednak aspekty nie literackie, lecz moralne i obyczajowe. Ci, którzy rozpetali burzę, uważali nasze wystąpienie za bluźnierstwo, obrażające uczucia szerokich rzesz ludzi wierzących. Z powodu konfiskaty pismo było jednak dla nich niedostępne, utworów nie czytali i opierali się na domysłach, plotce i prasie endeckiej. My uważaliśmy, że pismo, o minimalnym nakładzie, jest adresowane do konkretnego czytelnika i nikogo nie zgrzeszy. Utwory literackie — to dzieła sztuki, która nie powinna podlegać żadnym ograniczeniom. Atakuje nas koltuneria i ciemnota, w dodatku podporuszona i świadomie fałszywie informowana. Konfiskata i proces — to zamach na wolność słowa i sumienia.

Rychło też znaleźliśmy obrońców i to nie byle jakich. Po naszej stronie opowiedziało się wiele pism postępowych i lewicowych. Rozgorzała namiętna polemika. W stolicy wychodził dziennik pt. „Głos Warszawy”, redagowany przez St. Szpotkańskiego. Stawał on również w naszej obronie i zamieścił obszerny artykuł, cytując gęsto wyjątki z potępionych utworów. Za przytoczenie tych wierszy „Głos Warszawy” został skonfiskowany. Sprawa nabrała specjalnego rozgłosu już na całą Polskę.

Jeszcze jakieś pismo przedrukowało fragmenty z „Lucifera” i też zostało skonfiskowane. Wreszcie dwie interpelacje w Sejmie zgłosiły kluby poselskie PPS-u i „Wyzwolenia”. Sprawa Lucifera stopniowo osiągała swój punkt kulminacyjny.

A tymczasem w Lublinie główni bohaterzy i sprawcy tego zamieszania przeżywali różnorodne uczucia.

Z jednej strony rozpięła nas duma i chodziliśmy po mieście jak pawie. Co tu dużo gadać — rozgłos i popularność mogły uderzyć do głowy młodym ludziom. Pokazywano nas sobie palcami, jedni się gorszyli i oburzali, drudzy podziwiali i zazdrościli, a w każdym razie mówiono o nas bez przerwy.

Pamiętam, że w czasie jakiegoś balu akademickiego, gdy Gralewski poprosił do tańca Dziewannę Włodarską, wszyscy przestali tańczyć i cała sala patrzyła na tę parę jak na niezwykle widowisko.

Śmieliśmy się potem, że to miało być „ostatnie tango”, gdyż poprzedniego dnia Gralewski wykpł i pograżył kilku endeckich dziennikarzy, którzy się po tej awanturze odgrzali, że zemsta będzie straszna i on dnia następnego nie przeżyje, gdyż go zgładzą w pojedynku, jak to wówczas było w modzie.

Z drugiej strony jednak nurtował nas niepokój, co też dalej będzie, bo potężna burza zawisła nad naszymi głowami.

Prokurator urzędował, niczego dobrego nie mogliśmy się spodziewać, groziło nam nawet każdej chwili aresztowanie. Uniwersytet na razie milczał. Dochodziły nas wieści, że toczą się narady, jakie zająć stanowisko w sprawie „Lucifera”. Prawdopodobnie groziła nam relegacja. Sprawa znajdowała się obecnie w ręku rektora. Trzeba się było liczyć z przerwaniem studiów, dopiero co rozpoczętych. Tak że te chwile triumfu były zamącone niewesołymi refleksjami.

Jednak całkiem niespodzianie wszystko przybrało pomyślny obrót. Rektor Radziszewski uznał, że sprawę należy przemilczeć, a nawet zatuszować. Odpowiednie więc instrukcje zostały wydane w porozumieniu z odpowiednimi władzami. Przekazano akt Lucifera włożył pod inne sprawy bieżące, gdzie w spokoju doczekały amnestii, wydanej w roku 1922.

(Dokończenie na str. 6)

LUCIFER

KONRAD BIELSKI

już dziś nie przypominam. Zresztą nie odegrali oni większej roli.

Pismo było zamierzone jako miesięcznik literacki. Nosiło tytuł „Lucifer”.

Około tego tytułu i jeszcze przed ukazaniem się pierwszego numeru powstało bardzo wiele domysłów i plotek. Pewne kółka zasugerowały się tą nazwą i spodziewały się od nas wypowiedzi antyreligijnych i bezbożniczych. Właściwie nazywając tak to pismo redaktorzy jego nie zamierzali godzić w czyjeś uczucia religijne, lub podejmować specjalnej propagandy wolnomyślicielskiej. Ten tytuł po prostu nam się podobał.

Lucifer — to niosący światło, nazwa gwiazdy zarannej, ale i anioł zbuntowany. Wiedzieliśmy wprawdzie, że istnieje system teozoficzny, wyrosły z Kabały, zwany luciferyzmem, który u nas kulturował poeta Tadeusz Miciński, lecz nie zamierzaliśmy systemu tego uprawiać, ani rozpowszechniać w naszym piśmie.

Tak było naprawdę. Jednak po przeczytaniu pierwszego numeru można było sądzić inaczej.

Pismo nie miało ściśle sprecyzowanego programu artystycznego, ani też nie wystąpiło z żadnym manifestem, jak to było wówczas w modzie. Natomiast rolę tego biletu wizytowego spełniał wiersz Jana Lipki pt. „Inwokacja”, umieszczony na czołowym miejscu. W starej konwencji, formalnie bynajmniej nie nowatorski, w treści swojej zwracał się do „Lucifera” — który jako „światłodawca, pierwszy twórca sztuki”, miał być naszym patronem i orędownikiem — a kończył się patetyczną apostrofą: „i w nas się reinkarnuj, Agni — Luciferze”.

Drugim z kolei utworem, który musiał zwrócić uwagę, był wiersz Wacława Gralewskiego pt. „Halucynacje”. Treścią jego było kuszenie Chrystusa, które, zdaniem poety, trwa wечно, przy czym Chrystus był pokazany jako zbolący i umęczony, a Szatan odgrywał rolę raczej zwycięcy i tryumfatora.

Niewątpliwie jednak punktem kulminacyjnym był dopiero mój „Dytyramb szatański”.

„Niebiosza oszalały, sam Bóg jest pijany”, a potem następowały dalsze konsekwencje tego stanu rzeczy.

HENRYK PAJAK

Martwa natura

(FRAGMENTY POEMATU)

Moje ptactwo podniebne ze wszystkich łądów
ze wszystkich pustyń i mórz powracające na legowiska

Nadchodzi czas pokory gniazd pośród smukłych lasów
pora łagodna uszanowana przez liście i wiatr

Będę spokojnie przemawiać do waszych oddechów
będę śledzić jak spada kropla po kropili w to samo
[miejsce]

Stojąc w ciemności z twarzą zwróconą do siebie
bez trudu rozpoznam twoje włosy kwitnące i ciężkie

Jak ona bolesna jak ona otwarta i szczelna
staniesz się dziełem moich rąk

Z ufnością wyznasz nauczysz się mojej mowy
jak wielkiej sprawy o groźnych huczających werwetach

Czas nie dosięga ciebie jak sens
dawno utraconych rzeczy nie slegą ciąglej
[teraźniejszości]

Dawno tak dawno idziesz wśród staroświeckich alej
i nie pytając ktom jest kim jest narasta

Dialog w tłumie słupów o ciężko sklepionych czołach
rozpętany jak morze i jak morze obey

Zwalone lasy rozwiane gniazda zmierzwiłone oddechy
przestrzeń pusta wielkie płyty zmęczenia — popiół

oczy twoje są bosc
stopy twoje są ślepe
twoje słowa — skorpiony

JERZY S. FELIKSIAK

Świat

Między ziemią a niebem żyjemy zamknięci,
I świat jest tajemniczy jak dla dzieci wiatrak,
Od dawna już potrzebny klucz do bramy świata,
By nie wierzyć, że niebo zamieszkuje święci.

Tylko ziemię zmierzyl wlecy geometry,
A niebo pozostało dalekie, niezycie,
I pod jego ciężarem człowiek jeszcze kłęczy,
Serce często przed śmiercią niespokojnie bije.

Cóż kłęzącym objawił mózg elektronowy?
Kto umie bramę atomem wyważyć?
Więc nas jeszcze świat trwoży, kręcąc swe cyklony,
Jak wiatrak, który zabił swym skrzydłem młynarza.

(Dokończenie ze str. 5)

Wówczas sprawa dojrzała do umocnienia.

Uniwersytet chwalił się tolerancją i za przykład stawiał sprawę „Lucifera”. Ja sądzę jednak, że na tę wielkoduszność wpłynął poważnie rozgłos, jaki sprawa nabrała w kraju, a nawet i za granicą. Młoda uczelnia o specyficznym charakterze nie potrzebowała atmosfery skandalu, jaka by niewątpliwie powstała w związku z procesem. Przecież głosy prasy stołecznej i interpelacje w Sejmie były dostatecznym ostrzeżeniem. Rozdmuchiwanie jeszcze sprawy było i niepotrzebne i niebezpieczne. Wszakże ten sam uniwersytet po upływie dziesięciu lat, gdy okrzepł i umocnił się, wylał natychmiast pewnego poetę za przestępstwa podobne do naszych, nie czekając nawet na wynik sprawy sądowej.

W każdym razie na gruncie Lublina sprawa została załatwiona w sposób dla nas korzystny. Nie zakończyły się jednak skutki naszego wystąpienia i lawina poruszona przez nas toczyła się dalej.

LIPKA, jak to już zaznaczyłem, miał spore kontakty z literatami i nawiązał korespondencję z pisarzem francuskim Nicolas Beauduin'em. Poeta ten, ur. w r. 1881, który obecnie jest wzorowym klasykiem w formie i treści i piastuje szereg zaszczytnych stanowisk, w owych czasach jeszcze holdował awangardzie. Lipka nawet przełożył jego poemat pt. „L'homme cosmogonique”. Beauduin redagował wtedy pismo „La vie d'Lettrés” i na łamach jego opisał dzieje „Lucifera”, czyniąc nam jednocześnie wspaniałą reklamę. Prawdopodobnie tą drogą wieść o nas przedostała się za ocean. Lecz jakżeż potwornie zniekształcona.

W Stanach Zjednoczonych kilka pism zamieściło artykuły informujące czytelników o tym, że na terenie Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie powstała sekta satanistów, która w murach tej szanownej akademii potajemnie sprawuje swe niecne praktyki ku czci Lucifera. Cechą charakterystyczną tej sekty jest to, że należą do niej wyłącznie ludzie związani ze sztuką, a więc literaci, plastycy itp. Ostatnio miały nawet miejsca aresztowania w związku z ogłoszeniem bluźnierczego hymnu do Lucifera.

Wiele było śmiechu, gdy te wiadomości dotarły do nas. Koledzy nawet uparcie twierdzili, że w jednym z tych pism był mój portret imaginacyjny, gdy w stroju rytualnym odprawiam czarną mszę i recytuję „Dytyramb szatański”.

Zachęceni tym rozgłosem, Lipka, Włodarska i kilku jeszcze innych przygotowali i wydali drugi numer „Lucifera”. Pieniądzy trochę mieli z ocalonych od konfiskaty numerów, które potajemnie sprzedawano różnym osobom za drogie pieniądze, poza tym dopomógł oczywiście nieoceniony „mencas” kapitan Wójcik. Ja i Gralewski w tej imprezie już nie uczestniczyliśmy. Numer wydano dość duży, bogaty pod względem ilości materiału, nijaki co do jakości i, mimo że nawiązywał on do niedawnych głośnych tradycji, nie miał zupełnie powodzenia. Tak się zakończyła ta głośna przygoda.

Potem nastąpiły inne wydarzenia, które zwykłą koleją rzeczy dawniejsze stopniowo usunęły w niepamięć. Dziś, po czterdziestu latach i jakich jeszcze latach — czasy te wydają mi się prawie zamierzchłe. Nie mam nawet tego słynnego numeru „Lucifera”. Wiem, że jest on wielką rzadkością. Poginęły też w ogólnej zawierusze recenzje i wycinki z prasy naszej i zagranicznej. Są jednak, że póki żyją główni aktorzy, ta niecodzienna historia, tak ściśle związana z Lublinem, warta jest przypomnienia.

Konrad Bielski

PRZEGLĄD LITERACKI

(Dokończenie ze str. 3)

młodej Polski), porośnięte grubym już dziś mchem konserwatyzmu i anachronicznego tradycjonalizmu.

Do pracowni portrecisty literackiego zstępujemy przy lekturze zbiorów studiów „O Norwidzie” i „O Zeromskim”, ucznia Chmielowskiego w niejednym, choć kształtującego swój warsztat w aurze międzywojennej polonistyki i krytyki — Wacława Borowego. Są to tomy (pośmiertnie skomponowane przez wydawców) bardzo nierówne w treści i formie, ale właśnie przez swą nierówność — nadzwyczaj symptomatyczne dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości polskiego portretu literackiego. Drobne przyczynki, glossy i komentarze, wypełniające lwia część owych dwóch tomów Borowego, okazują przede wszystkim, jak wiele portret literacki wymaga zgola mrówczej skrzętności, pracowitości i erudycji, a nadto laboratoryjnej niemal docieklowości i wnikliwości. Dość wskazać, że na trzy początkowe znakomite szkice książki „O Norwidzie” złożyła się zaprawa, wprawa i erudycja Borowego, zaświadczone pozostałą zawartością publikacji, przede wszystkim zaś uprawianymi przez na równi znakomitego uczonego i krytyka periodycznie przeglądami publikacji norwidowskiej. Z Norwidianów i Zeromscianów Borowego także wiele okrył kurz anachronizmu i dezaktualizacji, co jednak z nich ostalo się czasowi i postępowi wiedzy o literaturze — starczy na spory i zany materiał „szkoleniowy”, ćwiczebny dla twórców i odbiorców portretu literackiego.

Wznovienia Chmielowskiego i Borowego to, rzecz można, tradycja, klasyka literackiego portretu — „16 pytań” Włodzimierza Maciąga, „Miniatury krytyczne” Andrzeja Kijowskiego i „Szkice do portretów” Jerzego Kwiatkowskiego prezentują optymistycznie teraźniejszość tego zapożyczonego przez wiele lat po wojnie rodzaju krytyki artystycznej. Nawet książkę Maciąga (specyficzną podstawy badawczej Kwiatkowskiego i Kijowskiego określają wystarczająco nagłówki ich tomów) umieszcza w ramach forwanego przeze mnie w tym „Przeglądzie” gatunku jej podtytuł: „Portrety polskich prozaików współczesnych” — wszyscy trzej krytycy prezentują zresztą obok tego samego pokolenia zbliżony typ znajomości, poniekąd nawet analizy literatury (ukształcony, po krakowsku, polonistycznie przez Kleinera i Wykę, a redakcyjnie — przez „Życie Literackie” i Wydawnictwo Literackie).

Najwyżej z dobrą, Chmielowskiego i Borowego, tradycją portretu literackiego koresponduje — wśród tych trzech publikacji — debiut książkowy Jerzego Kwiatkowskiego. W wiele bogatszej, aniżeli okazuje go szczerpła objętościowo książeczka, działalności czasopiśmienniczej Kwiatkowski dał

się poznać przede wszystkim jako wrażliwy i doświadczony konesez poezji, zwłaszcza tej, która zarysowała się najwyżej, bądź przynajmniej zadebiutowała ambitnie w polskim międzywojniu. Nie dziw więc, że „Szkice do portretów” rysują Jana Lechonia (opisanego dwoma, najbardziej zresztą marginalnymi w całej książce, esejami), Bolesława Leśmiana, Jarosława Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego i Marię Pawlikowską-Jasnorzewską. Kwiatkowski jest portrecistą subtelnym, o czulej wrażliwości, dobrym smaku i — ujawniającym się tak w zebraniu, jak i w metodycznym opracowaniu przedstawionego materiału — solidnym przygotowaniu historyczno-literackim. Nie dziwi zatem, że — nie omijając żadnego z elementów ideowych (również społeczno-politycznych) i artystycznych, warunkujących i kształtujących strukturę twórczości lirycznej — autor „Szkiców do portretów” umie je ułożyć w wywód przekonujący i przejrzysty, ilustrowany celowo i ładnie dobranymi cytatai, uargumentowany źródłowo, bibliograficznie.

Natomiast „16 pytań” Włodzimierza Maciąga jest na pewno już w autorskich zamierzeniach i ambicjach publikacją bardziej syntetyczną od szkiców Kwiatkowskiego. Maciąg nie omija właściwie żadnego z wybitniejszych powieściopisarzy i nowelistów polskich żyjącego, starszego i średniego pokolenia. Rysując portrety Antoniego Gołubiewa, Jana Parandowskiego, Teodora Parnickiego, Zofii Kossak, Marii Dąbrowskiej, Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Dygata, Stanisława Zielińskiego, Adolfa Rudnickiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Putramenta, Jana Józefa Szczepańskiego, Leopolda Buczkowskiego, Kazimierza Brandysa, Kornela Filipowicza i Sławomira Mrożka — krytyk próbuje, jak powiada we wstępie, „określenia perspektywy twórczej pisarzy, ich dorobku jako tygla, w którym można ujrzeć kształty nowej literatury”. W realizacji tych założeń Maciąg wychodzi poza najmlszy poprzednio zreferowanym autorem krąg obiektywizujących portret literacki upodobań i dyspozycji historyka, woli szkicować wybrane oblicza z bardziej właściwa krytykowi przekora, nie gardząc nawet w tym względzie przejskrawieniem i zjadliwością pamfletu. Przy tym wszystkim Maciąg jest portrecistą niezadowolonym ze swoich modeli, a zwłaszcza z — reprezentowanej przez nie (także w młodym i najmłodszym pokoleniu prozaików) — bezwładności filozoficznej i estetycznej, biorącej swój początek chyba, gdyby dopowiedzieć oskarżenia krytyka do końca, w zbyt słabym, za mało konsekwentnym zaangażowaniu się szkicowanych artystów w społeczne przemiany naszych czasów. Swoją galerię portretów zestawia więc autor „16 pytań” prowokacyjnie, nie zawsze sprawi-

dliwie, pragnąc w ten sposób zmusić czytelnika do naszkicowania własnej opinii o atakowanym pisarzu. Ale też ruszenie z posad mającego zawsze skłonności do snobistycznego bezwładu smaku i osądu czytelnika wydaje się najważniejszym (nader u nas od lat rzadkim) sukcesem książki Maciąga.

Najbardziej nierówną z omawianych serii portretów literackich wydaje się przecież „Miniatury krytyczne” Andrzeja Kijowskiego. Kijowski — odróżniając się tym od Kwiatkowskiego i Maciąga, zbliżając się za to do Chmielowskiego — portretuje nie tyle pisarzy i dzieła, ile problemy współczesnego sobie, przede wszystkim polskiego życia literackiego, układając z nich jak gdyby słownik literacki i pod takim tytułem publikując pierwodruki „Miniatur krytycznych” w „Przeglądzie Kulturalnym”. Nie są to jednak wywotowane encyklopedyczną erudycją hasła, zarysy monograficzne, ale więcej — felietony krytyczne, próbujące przekornym „widzimisem” kontynuować w tym względzie międzywojenną działalność Boya, Irzykowskiego czy Słonimskiego. Trudno ukryć, że w realizacji tych pragnień zbioru „Miniatur” wydaje się wśród omówionych tu książek publikacje najbardziej elitarną, klanową, nie tyle formą (Kijowski świetnie włada jasną, ładną polszczyzną), ile treścią, zaadresowaną wyraźnie do maklerów literackiej giełdy, urzędujących przy kawiarńnianych stolikach. Stąd przekora krytyka, komponująca najbardziej spoicie „Miniatury krytyczne”, smakuje wyraźnie kokieterią artystowskiego salonu, doprawiana dla wzmocnienia efektu od czasu do czasu wyjątkowo irytującym w uwagach Kijowskiego agnostycyzmem, bądź, równie subiektywnym, relatywizmem kryteriów analizy i oceny zjawisk literackich. Pisarz umie wydobyć i postawić palące dla współczesnej literatury problemy, w czym widziałbym główną wartość „Miniatur krytycznych” dla szerszych kręgów czytelników — natomiast zawodzi bardzo często w dokumentacji i argumentacji rozwiązania nakreślonego zagadnienia, sprzedaje fakty za dowcip, dowód za ponton, nasładowując wyżej wymienionych patronów „Miniatur krytycznych” w nie najlepszych przypadkach ich felietonistyki. Toteż Kijowski przerzuca się bardzo wyraźnie ze schematycznej jednostronności swego pierwszego zbioru szkiców literackich, wydanego pod znanym tytułem „Różowe i czarne”, w niepozabawioną zresztą eklektyzmu i apodyktyczności, sceptycyzm, apodyktyczność, apodyktyczność „Miniatur krytycznych”. Cóż, młodość lubi ekstremę i wypada jej to tym chętniej wybaczyć, że jest to, bądź co bądź, młodość literackiego portretu...

Zbigniew Pędziński

Piotr Chmielowski: „Pisma krytyczno-literackie”. Opracowanie Henryka Markiewicza. Kraków 1961, Wyd. Literackie.
Wacław Borowy: „O Norwidzie”, „O Zeromskim”. Warszawa 1960, PIW.
Jerzy Kwiatkowski: „Szkice do portretów”. Warszawa 1961, PIW.
Włodzimierz Maciąg: „16 pytań”. Kraków 1961, Wydawnictwo Literackie.
Andrzej Kijowski: „Miniatury krytyczne”. Warszawa 1961, PIW.

AFRYKA na CO DZIEŃ

(Dokończenie ze str. 4)

Gdy boa zabiera się do obiadu, przede wszystkim gniecie na miążgę kości swej ofiary, następnie zaczyna wydzielać z siebie olbrzymie ilości cuchnącej ohydnie śliny i zlewać nią jedzenie, po czym otwiera paszczę do wymaganych rozmiarów i wolno nadziewa się na kęs, jak pończocha na nogę. Boa ma kości szczękowe nie powiązane ze sobą, toteż może dowolnie je rozciągać.

Technik budowlany dozorujący robót na farmie doznał także silnych przeżyć. Oto, gdy odszedł na stronę w celach prywatnych, usłyszał w pobliżu szelest. Podniósł głowę i wzrok jego spotkał się ze wzrokiem lwa. Biedny technik chciał uciekać do Murzynów, lecz w żaden sposób nie mógł podciągnąć do góry szortów, chciał krzyknąć, lecz zabrakło mu głosu, lew zaś stanął na drodze i patrzył z pogardą na dwie białe twarze. Lwy naszych nie atakowały, wolały czarne mięso.

W bramach nie wolno było postawić czarnych policjantów, bo im lwy wyrwały tyłki, białych natomiast obchodzili z daleka.

Mnie także zdarzyła się przygoda. Pewnego rana poszłam z czajnikiem do ogólnej kuchni po herbatę. Całą drogę czułam lekkie targanie za suknię na brzuchu. Gdy w kuchni rozchyliłam płaszcz, zobaczyłam na sobie olbrzymiego, kosmatego pajaka, łapami trzymającego się za moje chude biodra. Zrzuciłam go z siebie pomyślnie, a kucharki zabiły go garnkami.

Za obozem znajdowało się duże, powulkaniczne jezioro Duluti, lśniące wieczorami seledynowo, a nad drzewami i zaroślami unosiły się wysoko roje zachwycających świetlików. Jest ich tam takie mnóstwo że robią wrażenie wręcz niesamowite, jak by niebo wymieszano się z wodą i gwiazdy latały pomiędzy wodorostami.

W dzień Duluti jest oślepiąco srebrne, przy brzegu porośnięte fiołkowego koloru liliami wodnymi, których zapach przypomina o silny ból głowy i nudności.

Po szerokich liściach lilii uganiają się za owadami kurki wodne, nurkują dzikie kaczki. Po drugiej, dzikiej stronie, gnieźdzą się w poplątanym gąszczu nieduże, purpurowe smoki grzebieńniaste, jakies przedpotopowe jaszczury i inna ohyda.

Pomimo młodego gorąca chodziliśmy na dalekie spacerki, wieczorami zaś nad jezioro albo na cement na tańce, co doprowadzało moją mamę i Hildebrandową do wybuchów złego humoru, obie bowiem były zazdrosne: jedna o mnie, druga o swego pięknego męża, Rudolfa. Rudzio był nie tylko ładniejszy od swej szpetnej małżonki, ale i dużo młodszy, co przy tragicznym braku mężczyzn w Tengeru zamieniło wkrótce jej życie w jeden ciąg udręczeń.

Lubiliśmy się wszyscy troje, szczególnie ja z Rudziem, toteż po każdym nieporozumieniu na tle podejrzeń i zazdrości Hildebrandowa zwykła była chodzić koło mego domku i mruczeć głośno, niby do siebie: „W złości nie ma miłości. Ja panią bardzo lubię, ale to przecież mój mąż”. W końcu wyprowadziłam się do innej grupy i zmieniłam towarzystwo, nawiasem mówiąc, zupełnie niepotrzebnie, bo winy nie było.

Nieco później, gdy malaria tropikalna zaczęła systematycznie wyniszczać organizmy, a na świecie wzięły górę kłamstwo i obłuda, odcieciało nam się nie tylko wycieczek, ale i życia.

NIEBAWEM zaczęło się organizować życie społeczne. Najpierw powstała administracja i szpital, następnie szkolnictwo. Pociągana zamianowaniem i namową, zgłosiłam się na nauczycielkę i byłam nią trzy lata.

Nauczanie w tamtych warunkach było sztuką nie lada. Przede wszystkim dawał się we znaki brak podręczników i niezbędnych pomocy naukowych. Mapy geograficzne oraz tablice anatomiczne i botaniczne rysowałam sama, dzieci zaś musiały co dzień przynosić ze sobą stołki do siedzenia. Potem wybudowano szkoły, porobiono ławki i tablice, był nawet stróż.

Zabraliśmy się do wydawania gazetki ściennej oraz tygodnika. Wyglaszaliśmy odczyty. W nowo wybudowanym „teatrze” pod gołym niebem zaczęły się odbywać przedstawienia i koncerty, a także akademie. Zajęto się też i analfabetami. Powstały dla nich

kursy czytania i pisania, szycia i robot ręcznych.

Z okna mojej tukuli rozpościerał się widok na dolinę, nad którą królowała góra Meru, przez drzwi widać było krawędź kotliny, na krawędzi której rósł olbrzymi akacjowiec o gałązkach tak delikatnych, jak najsubtelniejsze koronki. O świcie i o zachodzie słońca zarysowywały się one czarną siecią na tle gorącego różu zorzy.

Na każdej zwisającej gałęzi maleńkie krawczyki porobiły mnóstwo gniazd, wrzask tam był nieopisany, szczególnie po zachodzie słońca. Wielki zgiełk robiły także tkacze i kanarki. O kilka kroków na lewo rozpościerała się nieprzebyta, spleciona lianami, dżungla. Krawczyki — to małe ptaszki o dziobkach długich a wazutkich jak igły. Bardzo ciekawie jest obserwować parę podczas fabrykacji gniazda. Młode małżeństwo najpierw wybiera budulec, a więc duży, mocny liść, następnie jedno skręca z niego lejek, drugie zaś zrecznie zszywa bok długim żdźbłem trawy słonwicy na gałązce tak cienkiej, żeby ani wąż, ani kot nie mogły się dostać.

Toteż olbrzymie akacjowce wyglądają, jak rozszepiane choinki.

Raz obudziło mnie w nocy głośnie chleptanie. Spojrzałam w tę stronę i zobaczyłam na ścianie coś w rodzaju małego krokodyla — tylko bardziej pękatego i z ostrym grzebieniem na grzbiecie — jak opuścił się do szafki, na której stało przykryte mleko i raczył się obficie naszym jutrzejszym śniadaniem. Na ziemi leżała zrzuciona pokrywa. Stałam obok, dziwiąc się, że mu to mleko nie wylewa się z powrotem. Po zakończeniu odpasnął i wycofał się po ścianie na dwór.

W domku pełno było stale jaszczurek, polujących na muchy i ćmy, czasem wlatywał nietoperz, sprzątał im spod nosa w jednej chwili wszystką zwierzynę i znikał.

Gorsze były węże, które lubiły wlażyć pod poszewki poduszki i tam słodko usypiać, albo do szafek z produktami.

Od czasu do czasu Hildebrandowa wytrząsała którąś ze swych licznych rywalek patelnii po głowie, ktoś dostał czarnej malarii, ktoś umarł na raka wskutek pijaństwa.

Pomagając Hildebrandowej napadać na Rudzia, wołałam: „To wszystko dlatego, że Pan rudzi!” — „Ależ ja jestem czarny, nie rudzi!” — bronił się rozpaczliwie Hildebrand. Rzeczywiście włosy miał krucze aż granatowe i tylko to niemieckie imię naprowadzało na podejrzenie chytrłości, której nie było.

O kilka kroków od naszej tukuli wraża intensywnym życiem dżungla. Cała Afryka tętni wzmrożonym, bujnym, szalonym życiem. Na jednych drzewach wyrastają drugie, na splecionej gąszczu konarów rosną rozmaite paszożyty, z których najcharakterystyczniejsze są liany, naturalne huśtawki małp i dzieci...

Anna Suchnicka

ANTONI MADEJ

Z CYKLU „CIECHOCINEK”

Brzoza

Jest taka jedna rozłożysta, z milionem — ktoś policzy — wiotkich witek, opadem zawieszonych chmury pączków szepczących nad trawnikiem poranne zaklęcia i w słońcu południa koronkowa jak falbanki prababek.

W zmierzchu pogłębia fioleń ciszy i spowiada zapóźnionego dzięcioła, który zmartwiony usiadł na chwile (pewnie nie miał dobrego dnia), aby zniknąć na całą noc w dziupli sosnowej.

Brzoza jedna swobodna bez dookolnej gawiedzi drzew pomniejszych, więc w szerokiej krynolinie gałązek, dostojna w pełnym dosycie życia, bez konieczności rozpychania się łokciami konarów, świąteczna, biała, niedzielna.

Usiąść przy niej byłoby nietaktem, Pochylić się i w ukłonie pocałować podaną dostojnie

WRACAJĄC w zeszłym roku z toruńskiego festiwalu teatrów, spotkałam przypadkowo w wagonie jednego z wpływowych przedstawicieli naszego PMRN i, pełna zachwytu dla tamtej imprezy, zaczęłam skwapliwie agitować na rzecz analogicznego święta w Lublinie. Dia narobienia, jak to się mówi, apetytu, rozłożyłam „przed oczami” barwne prospekty, programy... Zdawało się wówczas, że namowa chwyciła, lecz przemknął oto rok — fale letniejskie bezlitośnie porwały z Lublina tę piękną inicjatywę. Nie dziwny się więc, gdy dzisiaj Jerzy Dostatni, spożywając na targach Calypso, żali się gorzko, że jeżdżą ludzie na festiwalu do Krakowa,

w lokalu Biblioteki im. H. Łopacińskiego, Otwarcie Robotniczego Domu Kultury na Kalinowszczyźnie, „Wesele lubelskie” dwukrotnie (w Teatrze Miejskim), Poranek poetów ludowych i młodych poetów lubelskich (w T-wo Muzycznym), Koncert kameralny (ibid), Popisy ludowych zespołów chóralnych i teatralnych (w Teatrze Miejskim), „Most” J. Szaniawskiego w wykonaniu Szkoły Dramatycznej (w Teatrze Miejskim), „Straszny dwór” St. Moniuszki, operomontaż w opracowaniu literackim (T-wo Muzyczne), Poranek muzyczny szkół powszechnych Lublina (Teatr Miejski), „Godzina Wieszców” — fragmenty utworów Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego w

WIĘCEJ BARWY!

MARIA BECHCZYC RUDNICKA

do Gdańska, do Kalisza, ba — do Rzeszowa, a do nas nie, bo nie ma na co, bo pomysł roztopił się w gorącym entuzjazmie.

A przecież festiwal to znowu nie taka już straszna Syzyfowa praca, choćby i wypadło raz urządzony powtarzać potem w pewnych odstępach czasu. Na dowód tego, że Lublin stać jednak na dość szeroko zakrojone przedsięwzięcie festiwalowe, chcę przypomnieć o całkiem okazałym Festiwalu Sztuki, który odbył się w okresie bezpośrednio „po-stołecznym”, ściślej mówiąc 6—13.X.1946 r. Przypominam, bo sporo niemiłych osiągnięć owego okresu poszło u nas niestety w niepamięć.

Zorganizował tę wzniosłą uroczystość Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, za urzędowania Józefa N. Kłosowskiego, jako pokaz dorobku artystycznego ziemi lubelskiej stanowiącego plon dwuletniej pracy w niebywale trudnych warunkach doby powojennej. Będąc wówczas zastępcą kierownika Wydziału i sekretarzem Festiwalu, a mając w związku z „wyczerpanym zawodem” historię skłonność do gromadzenia dokumentów epoki, zachowałam na szczęście w mych teczkach pełny komplet programów festiwalowych, mogłabym przeto odtworzyć na poszekaniu przebieg imprezy z całą dokładnością.

Jak wyglądał jej pierwszy dzień, niedziela 6.X.46?

Godz. 11—13 Uroczyste rozpoczęcie Festiwalu. Otwarcie Filharmonii Lubelskiej. Koncert symfoniczny (w Teatrze Miejskim)

Godz. 15 Otwarcie Wystawy Etnograficznej w Muzeum Lubelskim (Narutowicza 4)

Godz. 16 Otwarcie Wystawy Plastyków

Godz. 17 Popołudnie literatów lubelskich, z udziałem prof. Juliusza Kleinera. (Recytacje artystów dramatycznych w sali T-wo Muzycznego)

Godz. 19.15 Premiera komedii A. Fredry „Pan Jowialski” w Teatrze Miejskim. Fragmenty „Ballady” J. Słowackiego i jednoaktówka A. Fredry „Nikt mnie nie zna” w Teatrze Domu Żołnierza.

Przez następnych siedem dni mieliśmy co wieczór wyżej wymieniony program teatralny, a na poranki i popołudnia: Otwarcie Wystawy Książki

wykonaniu Szkoły Dramatycznej (Teatr Miejski), Koncert pieśni chóralnej (T-wo Śpiewacze „Echo”), Koncert kameralny (T-wo Muzyczne), Popis Szkoły Tańca Artystycznego (w Teatrze Miejskim), Koncert symfoniczny (T-wo Muzyczne), Koncert Orkiestry Włociańskiej St. Namysłowskiego (Teatr Miejski), Koncert T-wo Śpiewacze „Lutnia” (T-wo Muzyczne), Przedstawienie w Teatrze Łalki i Aktora „Bemol” (w sali Pocztowców) i in.

O pracy organizacyjnej pisała wówczas „Gazeta Lubelska” w n-rze z 15 maja 1946 m. in.:

„Wydzielone zostały sekcje: literacka pod przewodnictwem Marii Bechczyc-Rudnickiej (zastępca dr Araszkiewicz), muzyczna — dyr. Szeligowski (zastępca dyr. Chyła), teatralna — dyr. Borowski (zastępca Z. Chmielewski), plastyczna — prez. J. Kurzątkowski oraz organizacyjna — nac. J. Widmański. Do każdej sekcji mają wejść przedstawiciele szkolnictwa, ażeby umożliwić współudział młodzieży szkolnej.

Mamy przed sobą całe lato dla organizacji tygodnia sztuki. Lubelszczyzna ma specjalne dane, by taki przegląd dorobku kulturalno-artystycznego wypadł interesująco i z dużym pożytkiem dla społeczeństwa. Każda sekcja w swoim zakresie niech rozpoczyna pracę już od dziś.”

Tak też się stało. Do pracy zabrali się ochotczy działacze społeczni, literaci, aktorzy, plastycy, muzycy i Festiwal nie przyniósł wstydu swemu dyrektorowi, ministrowi Kultury i Sztuki. Impreza rozentuzjamała całe miasto, odbiła się szerokim echem w prasie codziennej i periodycznej (w dwutygodniku „Warszawa”, w „Teatrze”, w krakowskiej „Twórczości” i in.). Skoordynowanie wysiłków w dość długim okresie inkubacyjnym sprawiło, iż „ptak” (że użyję języka Szaniawskiego) — wypuszczony przez grono zapaleńców, pragnących, by w nowej Polsce było ładnie i radośnie, urodził się żywy i zdolny do wlotu.

A wszystko zrobiono prawie wylęcnie w dwóch salach, mając do dyspozycji także nieliczne jeszcze placówki kulturalne. Pomyślcie, czego by można teraz dokonać w Lublinie, stolicy niezgorzej już zagospodarowanego regionu, rozporządzając jednak — cokolwiek by się gadało — dość licznymi salami, hotelami, lepszą komunikacją, masą zespołów amatorskich, taką placówką jak LDK... Doprawdy warto od dziś zakasać rękawów, a zrobimy bogaty, barwny Festiwal Sztuki anno 1962!

smukłą wilkę naprawdę przyjemnie — zaprowadzi sama w cień rozkosznych przypomnień i zapamiętań.

Spoczynek

Powierzchnią całego ciała przylgnąć do powierzchni chłodnego przeciwieństwa, otulić się miękka koldrą.

Ciepłe rozanielenie.

Las podchodził pod okno zapachem [jodeł.

Nie ważnego nie może przydarzyć się myślom,

które ostatnim zrywem przytomności przyplływają pod szybę pamięci.

Szklany, hermetyczny kloz zamyka blask oczu, oddziela, dźwięk od słuchu, ogranicza pole dotyku.

Trójkąt świadomości zwięza się do jednej linii. Obrzeźkiem jej biegają światelka literek: C-i-e-c-h-o-o-c-i-n-e-k, które gasną po kolei coraz szerszej zasuwają ciężką kotarę odgradzącą scenę snu od widowni spraw codziennych.

Już jestem po drugiej stronie.

CZŁOWIEK EDYPA

ANNA TATARKIEWICZ

W „Kamieniu” recenzujemy spektakle warszawskie raczej w drodze wyjątku. „Edypa” omówimy właśnie ze względu na wyjątkowość wydarzenia. „Edyp” wrócił na polską scenę po wieloletniej nieobecności, rolę tytułową kreuje znakomity, jak niektórzy uważają — najznakomitszy nasz aktor współczesny, spektakl wzbudził wśród widzów i krytyki sprzeczne sądy. W tej sytuacji niechże i nam wolno będzie zabrać głos w tym sporze o „Edypa” (Red).

Inszenizacja „Edypa” w Teatrze Dramatycznym spotkała się z przyjęciem niejednorodnym. Niektórzy widzowie (i krytycy) opuszczają teatr z uczuciem zawodu; przede wszystkim chyba ci którzy przychodzą z gotową koncepcją, jak należy wystawić Sofoklesa, z gotowym wyobrażeniem, jak Holoubek zagra Edypa, i są zaszokowani realizacją odmienną od swych oczekiwań. Zaszokowani tym bardziej, że przedstawił w istocie jest niejednorodny, że raz w nim sporo niedoskonałości, że zamysł inscenizacyjny skrojono na miarę jednego aktora, nie licząc się z możliwościami czy predyspozycją znakomitej większości pozostałych (właściwie wszystkich) prócz Gogolewskiego). Nie ma w przedstawieniu harmonii, nie ma podręcznikowego Sofoklesa, nie ma także „tradycyjnego” Holoubka, w sensie chłodnego, intelektualnego aktorstwa z dystansem, które fascynowało nas dotychczas.

Ale jest na pewno próba zbliżenia Sofoklesa do współczesnego widza, i to zbliżenia środkami nie zewnętrznymi, a zarazem nie konformistycznymi w stosunku do wyobraźni widzów. Próba odczytania klasycznego tekstu niejako „od środka”, z odrzuceniem świadomości erudycyjnej, z odwołaniem się do świadomości współczesnej.

Czy chcemy, czy nie chcemy, czytając klasyków nieuprzedzonym okiem, komentujemy ich z perspektywy współczesności, czytamy ich poprzez dzieła współczesne, które kształtują naszą świadomość i wrażliwość. Ilość sytuacji tragicznych człowieka jest ograniczona i mit grecki, a za nim dramaty grecki, pierwszy dramat w naszym kręgu kulturowym, sytuacje owe zapisał. Ograniczone są także typy komentarza do sytuacji: metafizyczny, racjonalny, absurdalny. Nieograniczone są natomiast warianty owych typów, związane z nieustannym rozwojem świadomości. Nie zdradzamy klasyka, jeśli odczytujemy go poprzez dzieło współczesne, najbardziej zbliżone doń nie stopniem świadomości, ale jej formatem. Krótko mówiąc nie zdradzamy, jeśli odczytujemy go poprzez mądrość największych spośród współczesnych. I tak widziałabym możliwość odczytania Sofoklesa na przykład poprzez Kafkę, poprzez Manna, poprzez francuskich egzystencjalistów. Odczytanie przez Kafkę byłoby jedyną bodajże możliwością odczytania religijnego (przynajmniej) o ile rozumie się Kafkę, jak to czynił Camus). Czytając poprzez Manna należałoby wystawić koniecznie „Króla Edypa” łącznie z „Edypem w Kolonii”. Przy inspirowaniu się Camusem akcent padłby na sprawę winy niewinnego, przy Sartrze — na wybór i jego nieodwracalne skutki.

Poprzez jakiego twórcę współczesnego odczytany został Sofokles Renego i Holoubka? Wirth w swej ciekawej recenzji sugeruje, że przez Frischa, że „Edyp to niemal homo faber, bohater, którego wysłony intelektualizm nie ratuje bynajmniej przed irracjonalnością sytuacji tragicznej”.

Mnie się natomiast zdaje, że jest to odczytanie poprzez Faulknera, pisarza, którego klimat oraz „kryminalna” technika kompozycyjna wykazuje duże analogie z „Edypem”.

W tekście Sofoklesa można znaleźć podwójną motywację i podwójny komentarz; motywację transcendentną, religijną oraz immanentną, ludzką, komentarz metafizyczny i komentarz racjonalny. Holoubek eksponuje motywację ludzką, a jest ona uderzająco podobna do motywacji losu własnie u Faulknera. W „Absalomie” mówi się o dzieciach Sutpena, że nie można

ich ocalić przed losem, bo nie można ich ocalić przed samymi sobą. Człowiek jest sam swoim losem. Holoubek, konstruując postać Edypa, ukazuje, że Edyp nie może uciec przed swoim losem, bo nie może uciec przed sobą. W życiu Edypa raz tylko działa czynnik zewnętrzny, przypadek, który ratuje dziecko od śmierci, potem już cały czas on sam idzie naprzeciw swemu losu, a im bardziej stara się go uniknąć, tym bardziej się w nim pogrąża. Edyp Holoubka jest pyszny i gwałtowny, w swej dufności unosi się gniewem na wszystkich, którzy mogliby albo chcieli stanąć między nim a jego losem, na człowieka, który zdradził tajemnicę jego niewiadomego pochodzenia, na Teirezjasza, na Kreona, na Jokastę, szuka winy w nich, w sobie nie chce uznać żadnej winy, żadnej skazy, aż wypadnie mu przyjąć na siebie winy i skazy najstraszliwsze. Jego losem jest pycha i nieświadomość; jego droga przez mękę, droga katharsis prowadzi do samowiedzy i pokory w sensie sokratejskim.

Obok Edypa jest druga postać, nie mniej tragiczna, a świadomie zbuntowana przeciwko bogom i przeciwko losowi: Jokasta. Jakkolwiek odsunięta nieco w cień, w podtekst, dorównuje przecież tragizmem największym postaciom kobiecym greckiego dramatu: Klitemnestrze, Fedrze, Medei. Jakaż jest sprawa Jokasty? Młodzikiem matce wyrwano z ramion trzydniowe dziecko, rzucając je na śmierć. Jokasta potem przez lata żyła u boku mordercy, męża, Lajosa. Czy go kochała? Czy kobieta może kochać męża, który zabił jej dziecko? Jokasta nienawidziła męża

i nienawidziła bogów; z radością przyjął musiała śmierć męża jako zemstę losu, z triumfem przyjmowała kompromitację wyroczni. Jokasta pokochała musiała Edypa miłością matki — była od niego o tyle starsza, kochanki — którą nie była dla Lajosa, żony — matki jego dzieci. Jokasta nie przerażała zbrodni Edypa, przeraża ją jego rozpacz, gotowa jest go bronić przeciwko bogom, przeciwko prawdzie, przeciwko niemu samemu. A Edyp w ostateczną rozpacz popada dopiero po jej śmierci.

Wielka szkoda, że w spektaklu warszawskim zabrakło Jokasty.

Holoubek nie wznosi posagu Edypa, sprowadza go ze skali mitu, do skali ludzkiej, sekularyzuje go (jak zresztą słusznie pisał Wirth) i detronizuje, ale nie kreśli też jego psychologicznego portretu, Holoubek pokazuje Edypa „od środka”, ujawnia postawę, jakie Edyp zajmuje wobec innych i wobec strasznej prawdy, gra monolog wewnętrznym Edypa. Edyp Holoubka ma to natężenie reakcji, z jakim się ona rodzi, ale nie bywa ujawniana. Edyp ma szybkie ruchy, gwałtownie gestykuluje, chwilami krzyczy aż do zardęcia głosu; na wieść o śmierci domniemanego ojca podskakuje z radości; wielkim gestem rąk odpoczywa przy Jokaście, jakby się przed nią rozwiierał; w finale załamuje się tak, jak człowiek załamuje się tylko w sobie, przekazuje doświadczenia z dna naszej epoki, jest niejako obozym „muzułmaninem”. Operuje środkami ryzykownymi, zbliżając się niebezpiecznie blisko do owej granicy, dzielącej „ridicule” od „sublime”, ale

granicy tej nie przekracza, osiągając jakąś antypatetyczną wzniosłość. Nie jest monumentalny, nie jest hieratyczny, nie jest harmonijny — jest ludzki. Edyp człowiek.

Jeszcze kilka słów o scenografii. Kosiński skomponował dekorację na zasadzie dwu bram, przez które prowadził droga Edypa: brama chwały i brama udręki. Między nimi wznosi się ni to mur, ni to drzewo z granitu. Drzewo wiedzy? drzewo świadomości? Stopnie dla chóru stanowią jakby przedłużenie amfiteatralnej widowni, sugerując chórowi rolę świadka wydarzenia. Scenografia jest monumentalna i syntetyczna, ale są w niej pewne aluzje szczegółowe, może za bardzo szczegółowe, „literackie”, może za bardzo literackie. Sznury poza funkcje markowania fałdów mogą być odczytane jako „pęta losu”; kostium i charakterystyka Teirezjasza nawiązuje do tradycyjnego wizerunku śmierci; jakąś nie całkiem jasną pozaplastyczną wymowę mają trykoty na rękach: czarne u chóru, zbliżone kolorem do karnacji u Edypa i Jokasty, na koniec — nagłe ręce u obu pasterzy, przynoszących fatalne prawdy.

Muzyka Bairda nie jest nadużywana „oprawa”; w sposób przejmujący punktuje melodię spektaklu.

„Edyp” warszawski jest dla mnie ciekawą i w tendencji słuszną propozycją inscenizacyjną odmitologizowania dramatu greckiego, jest śmiała, nie do powielania, ale chyba rewelacyjną propozycją aktorską. Propozycją twórczą i jak wszystko co twórcze — nie najłatwiejszą do odbioru i akceptowania.

KATARAKTA I INNE...

MIROSLAW DERECKI

...Katarakta to jest błonka, która bywa między sukienkami ocznymi

...Jeśli by kto wzrok swój zemdlił patrząc w słońce... O wpadnięciu czegoś w nie (w oczy)

...Ludzi widzenie jakoby bez głów

...Miganie y błyskanie jasności, iskry, które się z oczu dadzą pochodzić albo pierzchać.

(Tytuły rozdziałów z XVI-wiecznych zleńników polskich traktujące o schorzeniach oczu. — Bednarski, „Historia Okulistyki”).

OPERACJA trwała około trzydziestu minut. Na godzinę przed jej rozpoczęciem — premedykacja: choremu podano preparaty farmakologiczne uspokajające, znośzące ból. Pół godziny temu chore „przeszedł” na stół operacyjny. Dzieci się minut trwało przygotowanie (znowu zastrzyki znieczulające, znośzące odruchy i ból), około piętnastu minut właściwy zabieg, nie więcej niż pięć minut czynności końcowe. Niewidomemu człowiekowi przeszczepiono rogówkę.

W Klinice Okulistycznej A.M. w Lublinie dzień operacyjny. Zajęte wszystkie cztery stoły. Trzy razy w tygodniu przeprowadza się tutaj po blisko dwadzieścia różnych operacji. Dzisiaj profesor Krwawicz nie może udzielić wywiadu.

TRZYPIĘTROWY pałacyk Chrzastnowskich przy ulicy Chmielnej 1. Dawniej pół Lublina spotykało się tutaj na obiadach „u Zytka”. Zgromadzenie św. Zyty prowadziło szkołę gospodarstwa domowego, „Zytka” słynęły ze smacznych, „domowych” posiłków. W 1955 roku budynek został oddany Klinice Okulistycznej, która mieściła się dotąd przy ulicy Staszica. Dwa lata trwała przebudowa.

Na zewnątrz jak dawniej gazony kwiatowe i trawniki — wewnątrz za to zaskakujące. Na miejscu dawnej kasy, — spokojny hall-poczekalnia. Tam, gdzie były sale jadalne — sala refrakcyjna, laboratorium, sekretariat, w pokoiku na prawo, gdzie jadalni tylko „specjalni goście i dobrodziejce Zakładu” — pokój asystentów, obok przychodnia Okulistyczna, na piętrach oddziały kobiece, dziecięce, męskie, sale operacyjne. Wszystko łączy winda.

Kierownikiem Kliniki jest prof. dr Tadeusz Krwawicz. Jego osiągnięcia przede wszystkim w dziedzinie keratoplastyki, udoskonalenia techniki wydobycia zaćmy, oraz mistrzowskie operacje są szeroko znane. Klinika niezmiernie gości przybyszów z zagranicy, którzy pragną zaznajomić się z metodami leczenia stosowanymi przez Profesora.

Dziennikarzom „trudno” rozmawiać z Profesorem. Znaczy to, że Doktor nie lubi wiele mówić ani o sobie samym, ani o swoich osiągnięciach. Powtarza często: „nauka nie znosi reklamy”.

„Studiowałem we Lwowie. Specjalizację w okulistyce odbywałem u pro-

fesora Bednarskiego. W 1944 roku, z oddziałami Wojska Polskiego zawędrowałem do Lublina i tutaj w Szpitalu Wojskowym prowadziłem Oddział Oczny. Po demobilizacji pozostałem już w Lublinie. Od 1948 roku kieruję Kliniką”.

„Tak, redagowałem Annales. Postępy Okulistyki. Pyta pan o ilość moich publikacji naukowych? Chyba ponad pięćdziesiąt”.

Profesor Krwawicz. Ogromny mężczyzna, o najbardziej w Polsce „czułych” rękach. Mówi z lekkim akcentem „lwowskim”, pali papierosy „Nysa”, pasjonuje się myślistwem, jest zapalonym automobilistą.

WYNALEZIENIE w XIX wieku oftalmoskopu, aparatu do oglądania dna oka, zamyka okres okulistyki, w którym lekarze błądzili



MUZEUM PRUSA otwarte nie będzie?

(Dokończenie ze str. 3)

Śmierci ich wychowanka Emila Trembińskiego itp. Wszystko to pani Juszkiewiczowa przekazała muzeum. W dalszych poszukiwaniach trafiono do pp. Borkowskich z Lublina, od których muzeum otrzymało fotografie, do pana Dunin-Borkowskiego z Krośniewic koło Kutna, który ofiarował fotokopie znajdujących się w jego posiadaniu: listów Prusa oraz fragmentów rękopisu felietonu.

Koło Miłośników Ziemi Lubartowskiej w Lubartowie przypomniało sobie, że w czasach szkolnych Prus mieszkał w Lublinie u swojej ciotki Domiceli Olszewskiej właścicielki sklepu z kapeluszniami przy ulicy Olejnej. Owa ciotka miała również dom w Lubartowie do którego młodzieńcy Prus kilkakrotnie przyjeżdżał na różne święta. Po długich poszukiwaniach przy pomocy ksiąg rejentalnych KMZL ustalono, który dom był miejscem wakacji Głowackiego i piękna fotografię tego domu ofiarowano muzeum.

Pani Krystyna Tokarzówna zrobiła fotokopie ze wszystkich dostępnych sobie listów Prusa. Podobne prace przeprowadza się w szeregu bibliotek przechowujących autografy pisarza. (Np. w Bibliotece im. Łopacińskiego w Lublinie znajduje się część księgozbioru Aleksandra Głowackiego — 130 tomów — z notatkami na marginesach robionymi jego ręką.)

W posiadaniu prof. Araszkiewicza znajduje się fotografia gabinetu, w którym Prus pracował. Pragnieniem profesora stało się zrekonstruowanie gabinetu w jednym z pokoi muzeum. Możliwe poszukiwania sprzętów, którymi posługiwał się wielki pisarz, przyniosły rezultat negatywny. Zaginęły fotele, regał, słupek pod kwiaty. Biurko przekazane zostało wprawdzie Polskiej Akademii Literatury, ale w czasie ostatniej wojny przepało. Prof. Araszkiewicz pragnie więc odtworzyć sprzęt według fotografii i ustawić je tak, jak stały. Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie Stanisław Lorentz wypożyczył dla muzeum Prusa na długi czas przedmioty, które się kiedyś w prawdziwym gabinecie znajdowały, a więc między innymi: adresy, dyplomy, fotografie, tekst kazania, które na ślubie Głowackich wygłosił ksiądz Trembiński itp. (w sumie około 140 eksponatów).

Tymczasem zainteresowanie tworzącym się muzeum zataczało coraz szersze kręgi. Gorącą rzeczniczką jego spraw stała się znana polska pisarka Ewa Szelburg-Zarembina, przebywająca obecnie w Rzymie. Oto co pisze, między innymi w liście do prof. Araszkiewicza: „Skorzystałam, że był u nas wczoraj Leon Kruczkowski i poruszyłam sprawę muzeum Prusa, a szczególnie owego wyposażenia jednego pokoju-gabinetu...”

Dzięki pani Zarembinie nawiązano również kontakt ze szwajcarskim profesorem Alfredem Loepfe z Lucerny, który interesuje się twórczością Prusa. Prof. Loepfe przysłał dla muzeum dwie książki pióra naszego wielkiego pisarza w swoim tłumaczeniu na język niemiecki. Pierwsza z nich to „Faraon”, a druga, pt. „Ritter der Freiheit”, (Rycerz wolności), zawiera kilka nowel Prusa oraz fragmenty jego książki „Dzieci”. Prof. Loepfe ofiarował również swój przekład niemiecki trzech listów, które Prus pisał do żony z Rapperswilu.

Dzięki pani Zarembinie muzeum wzbogaciło się również o nowe tłumaczenie „Lalki” na język włoski (przekładu dokonała Aurora Beniamino). Ta pięknie i bogato wydana książka ukazała się we Włoszech w końcu 1959 r. Ciekawe niezmiernie jest to, że w jednym z odnośników w słowie wstępnym na 10 stronie znajduje się wzmianka o powstającym w Nałęczowie muzeum Prusa.

Poza tym za pośrednictwem prof. uniwersytetu sofijskiego Kujowa Kujewa dla muzeum nadesłano bułgarski przekład „Faraona” w tłumaczeniu Dymitra Ikononowa.

I to wcale nie jest jeszcze wszystko. Każdy dzień przynosi nowe zdobycze.

A jednak pomimo to, że wszyscy jednogłośnie uznają nie tylko słusność, ale wręcz konieczność istnienia takiego muzeum w Nałęczowie, otwarcie jego stoi pod poważnym znakiem zapytania. Dlaczego? Otóż kierownik sanatorium mieszczącego się w dawnym pałacu Małachowskich umieścił w pokojach przeznaczonych i wyremontowanych specjalnie dla muzeum Prusa „gości” i koniec. Te dwa pokoje są mu ponoć „niezbędne”. Może więc muzeum zostanie otwarte po sezonie? Tak, tylko w takiej sytuacji kto zagwarantuje, że bezcenne eksponaty, zdobyte z wielkim trudem, dużym nakładem kosztów i sił, na wiosnę przyszłego roku nie zostaną, na zarządzenie kierownika sanatorium, spakowane i wrzucone do jakiejś komórki czy magazynu, w którym staną się pastwą myszy, pleśni i wilgoci?

Sprawa jest pilna i dojrzała do decydującego rozstrzygnięcia. Grzeczne, prywatne pertraktacje nie doprowadzą do niczego. Potrzebne są tu decydujące kroki ze strony władz wojewódzkich i centralnych,

w wyniku których, muzeum, nie tylko że zostałoby wreszcie i jak najszybciej otwarte, ale także w 100% zapewniono by bezpieczeństwo cennym eksponatom i możliwość zapoznania się z nimi szerokiej publiczności, niezależnie od miejsca zamieszkania. Poważnie zaniepokojona opinia publiczna czeka z niecierpliwością na ostateczne ustalenie losów należyciego muzeum.

Alina Tomaszewska

konrad frejdllich

reportaż z kazimierza

wiersz ten zechce przyjąć pani lidia p.

drepezą siwe kamienie — do brzegów przybijają
stodół tyle jak szkuty ładowanych ziarnem
i wisła o dno trzeple srebrnym mięsem wody
dyszają na powierzchni skrzela dzwonów lane

architektura sierpnia — kazimierz kazimierz
rynek wznosi nad sobą wianą upału
czasu belka rzeźbiona — mroczne wnętrza lata
rozświetlają skrzydeł owadziach witraże

tynek się marszczy inskryptem propter
[charitatem
prostują grzbiec zboląły podzielenie wieczorem
dachy rynku są hermą w wielkim oknie świata
przez nie wisła tylko i kości zwierzale

trzy krzyże przeżegnane przed zejściem do fary
sady kłękają a potem z owoców strzępną pył
krągła jesień się stoczy ze wzgórz na kazimierz
pęknie płyta lata pamiątkowy gmerk

Trzecie piętro. Tutaj mieści się tak zwany „Blok operacyjny”. Trzy sale wyłożone błękitnymi kafelkami, ludzie w błękitnych fartuchach, czapkach i maskach, zielonkawe światło bezcieniowych lamp. Najnowsza aparatura, największa precyzja.

W pierwszej sali operacyjnej dokonuje się zabiegów na zewnątrz gałki ocznej, np. operacje zeza. Przeprowadzane tutaj operacje są stosunkowo proste. W następnej — potężne elektromagnesy, specjalny mikroskop operacyjny, diatermia i jakieś inne jeszcze aparaty, których znaczenie trzeba lańkowi długo i cierpliwie objaśnić. W trzeciej sali brak jakichkolwiek skomplikowanych przyrządów. Tutaj najważniejszą rolę podczas operacji grają: maleńki, prosty w budowie dissector, trepan... i ręce profesora Krawawicza.

Przeszczenie rogówki. Operacja przywracająca wzrok ludziom, którzy dawniej byłiby skazani na dożywotną ślepotę.

Na skutek urazów mechanicznych, albo zmian chorobowych, rogówka, najbardziej zewnętrzna i wysunięta do przodu przezroczysta osłonka gałki ocznej może ulec zmętnieniu albo zbliznowaceniu. Światło nie przedostaje się wtedy do źrenicy, a co za tym idzie, siatkówka nie może odbierać wrażeń świetlnych. Chory nie widzi. W lubelskiej Klinice Okulistycznej zastępuje się w takim wypadku okrągły kawałek rogówki (około 5 mm średnicy) takim samym krążkiem, ale zdrowym, wyciętym z oka osobnika zmarłego. Operacja taka wymaga wielkiej precyzji. Przebiega w dwóch etapach. Specjalnym nożem — nacina się rogówkę. (Rogówka ma grubość 0,7 mm!) Teraz Profesor innym przyrządem, podobnym do mikroskopijnej szabelki — dissectorem, delikatnie rozwarstwia ją na dwie warstwy (każda po 0,35 mm!). W utworzoną w ten sposób kieszonkę, wprowadza piatek zdrowej rogówki. Po 10—12 dniach, kiedy wprowadzony krążek „przyrośł” do swojego miejsca, następuje drugi akt operacji — odtrąpaniu się wierzchnią schorzałą warstwą rogówki. Jest to tzw. keratoplastyka warstwowa, śród-rogówkowa stosowana w wypadku, kiedy zmętnieniu ulega tylko powierzchniowa warstwa rogówki. W wypadku całkowitego „dogłębego” zmętnienia stosuje się keratoplastykę całkowitą.

Z przeszczeniem rogówki wiąże się problem przechowywania i konserwowania „zdrowych” płatków, aby mogły być na każde zawołanie. I tutaj

Klinika lubelska opracowała własną metodę liofilizacji (wysuszenia w niskiej temperaturze) rogówki. Świeży piatek zamraża się w izopentanie w środowisku suchego lodu i alkoholu (temperatura — 79°C), a następnie przez 7 dni suszy w próżni przy temperaturze — 40°C. Po tygodniu, rogówka umieszczona w próbnicy, wygląda jak mały krążek lodu. W tym stanie może całymi miesiącami zachowywać wszystkie zdolności życiowe.

Od chwili opracowania przez prof. Krawawicza własnej metody przeszczenia rogówki, przeprowadzono w lubelskiej Klinice Okulistycznej już szereg operacji tego typu.

„Zdejmovanie katarakty”. Chyba najstarsza z operacji oka. Znana już i opisywana w Egipcie. W ciągu kilkunastu wieków napisano o niej tyle dzieł naukowych, że jak żartuje Profesor, cały budynek Kliniki nie wystarczylby na ich pomieszczenie. Aż do osiemnastego wieku zupełnie opacznie rozumiano istotę sprawy, uważano, że zaćma (katarakta) jest błoną umieszczoną pomiędzy źrenicą a soczewką, kiedy w istocie jest ona zmętnieniem soczewki. Grecy przebijałi powłoki oka igłą i spychali „kataraktę” w dół. Arabowie wysysali ją przez szklaną rurkę. Zaćmę usiłowano leczyć nie tylko operacyjnie. Marcin z Urzędowa k. Lublina, żyjący w XVI wieku, podawał taki przepis leczenia zaćmy korzeniem celidonii: „...jam nie czynił nigdy z niej (celidonii) wódek ani soku iedno tylko wiazwszy, zielę albo korzeń przelać przy członku, a gdy naidzie mleka, tedy onym dotknąć oka, tedy mgłę, katarakty, spędzi iedno trzeba cierpieć...”

Obecna metoda usuwania zaćmy polega na usunięciu z oka zmętniałej soczewki. Bardzo często, przy usuwaniu mechanicznym turebka soczewki pęka i operacja nie udaje się. I tutaj spotykamy wynalazek profesora. Kryoekstraktor — „druć” miedziana w plastikowej oprawce, który oziębia się do temperatury minus 79 st. C. Przy dotknięciu kryoekstraktorem części soczewki, w jednej chwili zmienia się w bryłkę lodu i przymarza do druczka. Nie zachodzi więc najmniejsza obawa pęknięcia turebki soczewki. Bez trudu można ją wyjąć z oka.

Inne osiągnięcie — to opracowanie operacji wyrównującej wadę refrakcyjną oka po operacji zaćmy drogą plastyki rogówkowej. Dzięki „wszczepieniu” do rogówki (w podobny sposób jak przy keratoplastyce warstwowej) soczewki — formy z plastiku, a

następnie wycięciu jej, na rogówce powstaje uwypuklenie z powodzeniem spełniające rolę soczewki.

SALE operacyjne, świetnie zaopatrzone instrumentarium, nowoczesna sala refrakcyjna, gdzie oglądałem filmy i kolorowe przezrocza pokazujące szczegóły operacji, o których była mowa, idealnie utrzymany oddział dziecięcy — to tylko niewielka część budynku. Klinika dysponuje stu pięcioma miejscami na wszystkich oddziałach. Każdy oddział posiada kompletną aparaturę do badań. Klinika ma pracownię: analityczną, bakteriologiczną, histologiczną, histochemiczną, rentgenowską, ortopedyczną, bibliotekę i własną zwierzętarnię.

Oczywiście początki, jak zwykle, nie były łatwe. W listopadzie 1944 roku Klinika dysponowała piętnastoma łóżkami w Oddziale Ocznym Szpitala Miejskiego. W 1948 roku przydzielono jej własne pomieszczenie w osobnym budynku przy ulicy Staszica 22. Liczba łóżek wzrosła do 74. Budynek przy ulicy Staszica był jednak bardzo niewygodny. Dopiero po przejęciu budynku przy ulicy Chmielnej Klinika mogła dojść do obecnego rozwoju. Po utworzeniu w roku 1951 lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Okulistycznego Klinika stała się miejscem zebrań naukowych, których odbyło się około siedemdziesięciu. W roku 1950 Klinika była gospodarzem XXV Zjazdu Okulistów Polskich”. W ciągu piętnastu lat istnienia Kliniki leczeniu szpitalnemu poddano ponad 21 000 chorych, wykonano ponad 14 000 operacji, udzielono około 270 000 porad ambulatoryjnych.

Z okazji piętnastolecia Kliniki, prof. Krawawicz pisał: „Od początku istnienia Kliniki jednym z najważniejszych jej zadań było szkolenie specjalistów i przygotowanie przyszłych samodzielnych pracowników nauki. Wyniki tej działalności są następujące: jeden z lekarzy kliniki — dr Maria Seidler Dymitrowska, po przeprowadzeniu przewodu rehabilitacyjnego i otrzymaniu stopnia docenta, powołana została na kierownika Kliniki Okulistycznej Akademii Medycznej w Białymstoku, siedmiu pracowników Kliniki otrzymało stopień doktora medycyny, osiemnastu lekarzy zostało specjalistami pierwszego stopnia, a dwunastu lekarzy specjalistami drugiego stopnia”. „Ogółem pracownicy Kliniki ogłosili drukiem 121 prac naukowych”.

Mirosław Derecki

Książki, które czytamy

WIATR za progiem

NAŁĘCZÓW — ten „krajobraz najpiękniejszy pod słońcem” — jak pisał o nim Stefan Żeromski — stał się miejscem akcji interesującej powieści Moniki Warneńskiej pt. „Wiatr za progiem”, która w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej i Redakcji „Kamień” otrzymała wyróżnienie I stopnia. Książka wydana ostatnio przez Wydawnictwo Lubelskie poświęcona jest pobytowi i działalności Stefana Żeromskiego na Lubelszczyźnie. Piękny to był okres w życiu autora „Popiołów”, kiedy właśnie tu, w Nałęczowie, po długiej guwernerskiej tułaczce, schorowany i zagniewany na cały świat, znalazł schronienie w domu inżyniera Michała Górskiego, rozwinął swój talent pisarski i działalność społeczną przy boku Kochającej go i wyrozumiałej Oktawii Rodkiewiczowej. Autorka, która podjęła się w sposób wierny, w literackiej, przystępnej formie przekazać czytelnikom „okres nalezcowski” w życiu i twórczości Stefana Żeromskiego, musiała sięgnąć do licznych materiałów pochodzących od samego pisarza, a więc jego dzieł, listów i najrozmaitszych wypowiedzi, jak i relacji ludzi mu współczesnych, następnie należało przedrzeć się przez gąszcz licznych prac naukowych i archiwaliów.

Szczególnie dużo materiału do swej opowieści wykorzystuje M. Warneńska z „Dzienników” Żeromskiego, spisanych od 9 września 1891 r. do 11 października 1891 r. (np. wyprawa na Krepe, spowiedź w Katedrze Lubelskiej czy majówka) i to przytaczając nieraz całe fragmenty w dosłownym brzmieniu.

Obserwujemy jednak często w „Wietrze za progiem” świadomą tendencyjność autorki przy podawaniu faktów z życia Żeromskiego. Odnosi się wrażenie, że darcz go dużą sympatią i jako pisarza, i jako człowieka, tłumaczy go nam z wielu postępów w myśl zasady „przebież on jest wielki”.

Bogata garścią czerpie Warneńska materiał z pracy Heleny Duninówny „Ci, których znam”. Można jednak pod adresem Warneńskiej wysunąć zarzut, że broni Żeromskiego przed odpowiedzialnością za los Oktawii. Argumenty Duninówny świadczące na niekorzyść pisarza są nadto oczywiste:

„...dla niego jednak porzuciła swą całą intelektualną karierę, stała się gospodynią, kucharką, pokojówką, praczką, pomywaczką i pielęgniarką...”

„Kazala Heni być w pogotowiu na każde jego zawołanie...”

„Pokoju dla siebie nie ma — śpi parę godzin na ławce w sieni kuchennej. Nogi ma popuchnięte, pantofle rozklekotane.”

(Dokończenie na str. 10)

O podróżach

KAROL CAPEK

ON Słuchaj, w tym roku moglibyśmy na wakacje pojechać do Nowej Zelandii.

ONA Dlaczego?
ON Ponieważ, Inko... Czytałaś kiedyś „Dzieci kapitana Granta”? Wiesz, to już od dzieciństwa było moim marzeniem. Spójrzcie choć raz na Nową Zelandię.

ONA Dobrze, kochanie. Pojedziemy do Nowej Zelandii. Nawet nie wiesz, jak się z tego cieszę.

ON (studiuje linie morskie, mapy Nowej Zelandii itd.)
Hm. Hm. Głupie połączenie! I tutaj, widzę, nie ma żadnej drogi. Trzeba jechać okrętem. Hm. Ale może przecież jakieś połączenie tam się znajdzie...

ONA Słuchaj... Słyszysz?

ON Co takiego?

ONA Nie moglibyśmy w tym roku pojechać do Islandii?

ON Czemu?

ONA Bo każdy w tym roku wybiera się do Islandii.

ON Właśnie dlatego my pojedziemy do Nowej Zelandii.

ONA Ale ja bym tak chciała do Islandii. Tam musi być wspaniale!

ON I mówisz mi to teraz, kiedy już mamy gotowe plany w związku z Nową Zelandią!

ONA Dobrze więc, kochanie, pojedziemy, jeśli chcesz, do Nowej Zelandii! I już więcej na ten temat nie będziemy rozmawiali, zgoda?

ON (studiuje linie morskie, mapy Islandii, literaturę dotyczącą Islandii itd.)
Hm. Hm. Psia kość, paskudne połączenie! To chyba trzeba jechać wierzchem. I przez te góry, jak widzę, nie ma nawet ścieżki. To głupie. Hm. A jak się tam człowik dostanie? Chyba tam łądzi rybaczki?

ONA Słuchaj, a do Holandii nie moglibyśmy pojechać?

ON Dlaczego do Holandii?

ONA W Katwijk są podobno bajeczne kąpiele. Emcia opowiadała, że była w zeszłym roku. I podobno tam ogromnie tanio.

ON Ale przecież chciałaś jechać do Islandii.

ONA Ja? Nawet mi to przez myśl nie przeszło! Tam przecież w ogóle nie można się kąpać.

ON (studiuje mapy Holandii, prospekty hotelów itd.)
Hm. Ależ tam drogo! A co, jakbyśmy byli w Holandii, może byśmy tak wyskoczyli do kolonii holenderskich, na przykład na Surinam albo na Jawę? Co myślisz?

ONA Co?

ON Gdy już będziemy w Holandii, nie chciałabyś popatrzeć na Jawę?

ONA Czy tam są kąpiele?

ON Są, doskonale. I pływają tam takie piękne białe łodzie.

ONA Wyśmienicie. Pojedziemy na Jawę! Właśnie mam nową białą suknię z czerwonym paskiem, która się dobrze pierze. Nawet nie przypuszczasz, jak się cieszę na myśl o Jawie.

ONA Jedziemy w tym roku na Jawę.

PRZYJACIEL Po co?

ONA Kapać się. Podobno tam są wyśmienite kąpiele.

PRZYJACIEL Kto ci to powiedział?

ONA Wszyscy. Podobno tam jest wspaniała woda.

PRZYJACIEL Owszem, a w niej pełno rekinów. Ja bym tam nie pojechał. To niebezpieczna wyprawa.

ONA Więc dokąd byś pojechał na kąpiele?

PRZYJACIEL Ja ci powiem. Jeśli się kąpać, to tylko w Alpach, w Mortalasee, Lago di Mortala. Bylem tam kiedyś, powiadam ci — rozkosz!

ONA A czy stamtąd można pojechać do Holandii, do Katwijk?

PRZYJACIEL Z całą pewnością!

ONA Słuchaj (itd.)

ON (studiuje mapy Alp, florę alpejską, prospekty hotelów, przewodniki wysokogórskie itd.)

(Po wakacjach)

PRZYJACIEL Gdzie więc państwo byli w tym roku?

ONA No oczywiście, w Dubrowniku!

ON Kąpiel tam była świetna.

PRZYJACIEL A skoro byliście państwo w Dubrowniku, czy widzieliście Progir? Nie? W takim razie państwo nic nie widzieli. I na Wisie nie byliście także? Więc powiem wam, żeście jeździli niepotrzebnie. Ja bym państwu doradził dokąd jechać!

ONA A widzisz, mówiłam ci to! Mielibyśmy jechać na tę Islandię. Wyjazd do Dubrownika to wcale nie jest podróż. Tam się pcha każdy, byle kto!

1937

Przełożył K. A. Jaworski

Przypisek tłumacza. Przed wojną spragnieni morza Czesi wyjeżdżali przeważnie do Jugosławii, jak dziś odwiedzają Polskę lub Bułgarię.

utworu, który w najbardziej pełny sposób obrazuje dorobek działalności Zeromskiego w Naleczowie.

Jeśli chodzi o samego pisarza — warto może by było utrwalic tak specyficzny dla niego rys charakteru, jakim było zdręczanie się myślą o tym, że czytelnicy nie potrafią zrozumieć jego idei. Trzeba było również wspomnieć, jak Zeromski reagował na krytykę. Można też wspominać o obszerniejsze potraktowanie jego działalności w PPS, czego rezultatem były rewizje, a następnie pobyt w więzieniu wraz z Ludwikiem Krzywickim, Kazimierzem Bleszyńskim i in. Takich i tym podobnych pretensji da się znaleźć znacznie więcej. Jest to zresztą zupełnie zrozumiale. Autorka przecież nie chciała i nie mogła zadowolnić wszystkich czytelników, zarówno młodszych, jak i starszych, tych którzy dobrze znają Zeromskiego i tych, których być może właśnie ta książka zachęci do przeczytania jego dzieł. Biorąc jednakże pod uwagę założenia, jakimi kierowała się autorka „Wiatru za progiem” trzeba przyznać, że niewątpliwie osiągnęła ona swój cel, dając bardzo sugestywny, często liryczny, napisany bardzo przystojnym językiem portret pisarza z jego lubelskich lat. Trzeba dodać, że Wydawnictwo postarało się o piękną szatę: książka została wydrukowana na bardzo dobrym papierze i otrzymała interesującą obwolutę, którą projektował Jarosław Łukawski. Niewątpliwie jest w tym dużo zastrzeżeń. Lubelski Drukarni Prasowej i to trzeba mocno podkreślić, dzięki bowiem współpracy Drukarni i Wydawnictwa książka lubelska, zaczyna osiągać coraz wyższy poziom edytorski, którego nie trzeba się już wstydić.

Elżbieta Rosiak

* Monika Warneńska: Wiatr za progiem. Opowieść o Zeromskim. Lublin, 1961, Wydawnictwo Lubelskie, s. 206, 2 nrb. Cena 16 zł.

RENEZANS SŁOWA DRUKOWANEGO

TADEUSZ J. ŻOŁCINSKI

Co pewien czas na łamach naszej prasy literackiej (zresztą za granicą również) rozpętuje się dyskusja na temat czytelnictwa książek. Przeprowadza się przy okazji różnego rodzaju mniej lub bardziej udane ankiety czytelnicze zawierające mniej więcej te same pytania. Jak wykazują statystyki, zwykle na ankiety odpowiadają ludzie pewnych ściśle określonych profesji. A więc w pierwszej kolejności nauczyciele, emeryci, urzędnicy. Są to ci, którzy nie tylko mają, z tych czy innych przyczyn, stosunkowo najwięcej czasu na czytanie, ale i chęć na wypełnianie kwestionariuszy ankietowych. Brak natomiast wypowiedzi lekarzy, inżynierów, ekonomistów i tzw. zawodów wolnych. Z licznych wypowiedzi ankietowych wynika, że większość odpowiadających czyta dużo i chętnie, przeważnie klasyków i powieści historyczne (sic), książki mało kto z nich kupuje, chętnie korzystając z bibliotek, czytelnicy i jak zwykle wypożyczając od znajomych. Dotyczy to przede wszystkim małych miasteczek, gdzie nie wszystkie książki będące w ruchu księgarskim docierają do miejscowej księgarni.

Według pobieżnych danych statystycznych, opartych na badaniach ankietowych, można by wywnioskować, że w Polsce suma summarum w ogóle do książki zagląda 50% ludzi dorosłych. Oczywiście są to dane z dużym przybliżeniem. Procent czytających stale waha się pomiędzy 15 a 20. Jest to na pewno dużo, chociaż wydaje mi się, że przy obecnej propagandzie czytelniczej mogłoby być jeszcze więcej. Ale nie o to mi w tym felietonie chodzi. Problemem dla mnie i to zasadniczym, na który nie potrafię znaleźć zadowalającej odpowiedzi, jest zagadnienie błyskawicznego znikania książek z półek księgarskich. Bo fakt pozostaje faktem, że u nas 10-tysięczny (normalny) nakład średnio rozreklamowanej książki rozchodzi się w ciągu kilku tygodni. Gdy oto na zachodzie bestsellery rozchodzą się w okresie dużo dłuższym i w nakładzie trzykrotnie mniejszym. Nie mówię już o bestsellerach polskich rzędu „Spisowa brama” Brezy (trzy wydania), tegoż pisarza „Urząd” (dwa wydania), „Polska Plastów” Pawła Jasiericy, jak również tegoż autora „Myśli o dawnej Polsce”, których pierwsze nakłady znikły z półek księgarskich na długo przed ukazaniem się w prasie jakiegokolwiek recenzji. A książki pisarzy obcych, takich jak T. Mann, Faulkner, Hemingway, Aragon, Camus — ich żywot księgarski jest parodiowany, a w niektórych miastach sprzedawane są one wręcz spod ludy. Ale nie tylko pisarze głośni, o wyrobionych nazwiskach są rozchwytywani. To samo dotyczy nawet debiutantów, tych najmniej znanych. Mają oni zapewnione powodzenie u kupujących. To samo zjawisko obserwujemy i z poezją, o której krytycy jednogłosemnie twierdzą, że jest trudna i mniej komunikatywna aniżeli powieść. I ona znika.

A książki popularno-naukowe, podręcznicze, historyczne? Jak zaapewniał mi jeden z księgarzy, ludzie chcą więcej kupować, niż się u nas wydaje.

I tak jest w istocie. Wystarczy przyrzec się ludziom w czasie słynnych majowych kiermaszy książkowych. Od kilku lat uległszy zbiorowej hypnozie, chodzą regularnie na kiermasz książkowy w Aleje Ujazdowskie. Przez trzy niedziele (tyle trwa kiermasz) przewalają się tam tłumy ludzi. W stolicy (podobnie zresztą, jak i w innych miastach wyruszają całe rodziny, odświętnie ubrane, aby choć przez kilka minut potoczyć się przed każdym stołkiem, tu i ówdzie przywitać się ze znajomymi, poplotkować przy okazji. A później obławowani zakupami i prospektami odpływają w pielesze domowe.

Majowy kiermasz zapelniony tysiącnymi tłumami, wydajnymi setki złotych, jest chyba najlepszym zaprzeczeniem obaw wydawców i krytyków mówiących o „zmierzchu cywilizacji czytanej” i „kryzysie książki”.

Zastanawiałem się, co jest właściwym magnesem, przyciągającym tych ludzi? Czy skupienie w ołbrzymiej masie książek, przyciągających swą piękną szatą graficzną? Czy chowane na tę okazję w magazynach wydawnictwa powieści — bestsellery? Czy wreszcie pisarze, składający swe autografy, nie tylko na książkach, ale nawet i na skrawkach papieru (autentyczne).

W tym roku dały się zaobserwować dwa ciekawe zjawiska. Oto wykupowano przede wszystkim powieści pisarzy polskich, cieszące się w prasie dobrą recenzją (Brandysa, Parandowskiego, Zukrowskiego, Putramenta, Morcinka). A więc czyta się u nas prasę, a co najważniejsze — ufa się opiniom piszących.

Drugie zjawisko — przeważała młodzież. O ile starsze pokolenie sięgało po książki pisarzy dawnych, nawet niekoniecznie klasyków, o tyle młodzież poszukiwała tylko literatury współczesnej.

Opinię tę potwierdza w znacznym stopniu przeprowadzona swego czasu przez Jerzego Pomorskiego ankieta czytelnicza wśród młodzieży w wieku 15—19 lat w środowiskach krakowskim i warszawskim. Oczywiście poza tradycyjnymi kryminalami, które w tym wieku najbardziej fascynują, wymieniano Hemingwaya, Sagan, Camusa. Był to rok 1958. Przeglądając obecnie skromne księgozbiory kilkudziesięciu młodych ludzi, dorzuciłbym Faulknera, Steinbecka, Manna, Saint-Exupéry, Iwaszkiewicza, Brandysa, Andrzejewskiego, Dygata.

Czy rzeczywiście ludzie, w szczególności w dużych miastach, wolą kupować książkę na własność, choćby nawet po to, aby po przeczytaniu ją wyrzucić, aniżeli korzystać z bibliotek publicznych, dokąd nowości wydawnicze przychodzą najmniej z miesięcznym opóźnieniem, a na przeczytanie co lepszej książki trzeba czekać tygodniami w kolejce.

A może bibliofilstwo, jakże odmienne od tego w tradycyjnym sensie rozumianego, stało się ostatnio zaraziliwe? A może snobizm, chęć posiadania, możliwość zaimponowania? A może prawdziwy głód wiedzy? A może jednak stosunkowo niska cena książki? A może działają wszystkie te czynniki razem? W tym właśnie tkwi problem. Bo oto w drugiej połowie wieku dwudziestego, gdy wydawać się mogło, że technika, standaryzacja życia wypchnie książkę, przeżywamy w Polsce renesans książki, renesans słowa drukowanego.

NOTY

* CZERWCA B. R. pod przewodnictwem poety Philippe'a Souppaulta odbyła się w paryskim teatrze Recamier uroczysta akademika ku czci Vitezslava Nezvala, zorganizowana przez l'Association Française d'Action Artistique.

CO MOŻNA PUŚCIĆ PLAZEM PŁOTKOM DZIENNIKARSKIM, tego nie można darować Jerzemu Wajdorzowi, który pisze w n-rze 25 „Świata” o tegorocznej „prasce” wiośnie” stwierdza, że „zainteresowanie Czechosłowaków książką naszą jest duże”. Jednakże przed pierwszą wojną światową Austriaków i Węgrów nie łączono w jeden naród.

A MY SIĘ DZIWIJEMY! Tadeusz Kubiak w wierszu „I co tu się działo?” („Świat”, nr 25) pisze: „A potem żeśmy rosli...” Najpierw żeśmy zawarli umowę z redakcją — co tydzień wiersz, potem żeśmy zaczęli ją realizować, wreszcie żeśmy zaczęli robić byki.

ILE MA LAT PUTRAMENT? W rubryce „Świat książek” („Świat”, nr 25) czytamy: „Jerzy Putrament: Pół wieku, MON (25 zł) pamiętnik obejmujący pół wieku pisarza od dzieciństwa do r. 1939”.

-kaj-

SPROSTOWANIE

W n-rze 11 „Kamieny” pod art. „Góry, pieśni i ludzie” umieszczono pomyłkowo podpis: X. Rovay — zamiast prawidłowego: K. A. Jaworski.

W tymże n-rze we wspomnieniu Konrada Bielskiego „Kłopoty z nauką”, str. 4, str. 3, zdanie w w. 25 od góry: „W styczniu 1926 roku bawił w Lublinie...” powinno brzmieć: „W styczniu 1926 roku...”

Wiatr za progiem

(Dokończenie ze str. 9)

Warneńska tego rodzaju fakty stara się wołować, wybierać z nich pisarza, który w tym czasie przecież tworzył. Pomija i ten fakt, którym dzielił się H. Duninówna, pisząc:

„Tu, w tej pace, pierwsza żona Zeromskiego, pani Oktawia, matka Adasia, spała do końca swego życia. Była nienormalna, na wpół obłąkana.”

Intencje Warneńskiej są jednak w gruncie rzeczy bodaj usprawiedliwione. Chodzi jej bowiem o to, by zbliżyć do pisarza, młodzież, a więc ukazać go z tej „dobrej strony”, nawet kosztem pewnego skrzywienia prawdziwego obrazu. Nacisk położony został nie na sensację, bogate życie towarzyskie, flirty itd., ale na to, co było w życiu Zeromskiego najważniejsze: twórczość literacką i działalność społeczną i kulturalną. I trzeba przyznać, że dobrze czyni autorka ukazując postać pisarza w wirze prac społecznych i twórczych. Zaczynamy się nawet zastanawiać chwilami, skąd Zeromski brał czas na pisanie powieści. Przecież Naleczów — to okres szczególnie bogatego rozkwitu jego twórczości, a jednocześnie i działalności społecznej.

Niestety, Warneńska zupełnie niemal zbagatelizowała prace lubelskich naukowców, którzy wiele już na temat związków Zeromskiego z naszym regionem napisali. Śięgnięcie do tych prac pozwoliłoby autorce „Wiatru za progiem” na ukazanie jakże ważnych i licznych naleczowskich realiów w jego dziełach. Bo jeżeli o coś u Warneńskiej można się szczególnie upominać, to chyba przede wszystkim o to, że za mało miejsca poświęciła odbiciu życia i działalności pisarza w Naleczowie — w twórczości literackiej. Dotyczy to zwłaszcza „Róży”